

POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŻNIE

FIGHTING POLAND

— WEEKLY FOR THE POLISH FORCES —

PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień

Dnia 29-go sierpnia 1942r.

Rok IV. Nr. 35

POLSKI WRZESIEŃ

B.D.L.C.

Nie tygodnie, nie miesiące, to już lata narosły, napiętrzyły się w straszliwym rozbiegu, w okrutnym, nieludzkim nateżeniu pomiędzy nami a tragicznym epizodem Kampanii Wrześniowej. Już to słowo: "kampania" obrosło w nowe określniki. Już zdołaliśmy — my aktorzy, widzowie pierwszej kampanii tej wojny — uczestniczyć w kilku innych: norweskiej, francuskiej, libijskiej, w bitwie o Wielką Brytanię, w bitwie o Atlantyk, w bitwie o Morze Śródziemne, w walkach, które zamknęły się albo rozgrywają się jeszcze na naszych oczach, stanowią codzienną treść naszych trwóg i naszych nadziei.

Czy to wszystko znaczy, że Kampania Wrześniowa, tragiczna rodzicielka naszego zbiorowego losu odeszła między sprawy odległe i umarłe? Czy to znaczy, że jest już tylko wspomnieniem pełnym bólu i wzniosłości, wspomnieniem, w którym zmieszały się gniew, rozpacz, upokorzenie z ogniem ofiary, w którym małość nie liczących a "wybranych" zrównoważyła się wielkością bezmiennej masy narodu, wielkością zbiorowego odruchu, zbiorowego, powszechnego, bezapelacyjnego uniesienia, zapamiętania się w walce i w oporze mimo wszystko, wbrew wszystkiemu? Czy to znaczy, że wydarzenia tamtej jesieni, której nie wytrze z pamięci polskiej nic, chyba nowa wiosna polska, że bezlitosny, szyderczy trzask złudzeń, walących się na ziemię, jak kulisy, że straszliwy obraz padania zrębów domu, plonięcia dorobku jednej generacji, że krew, która gasiła zgorzeliska — jest już tylko historią?

Dziś, w przededniu trzeciej rocznicy Kampanii Polskiej, wiemy ponad wszelką wątpliwość, że nie. Wszyscy, którzy świadomie przeżywamy dziejące się fakty, doświadczyliśmy dotykalnie prawdy, o której mówili do niedawna tylko powieściopisarze - psychologisci: prawdy o pośmiertnym życiu, o przemianach się wydarzeń przeszłych, rzekomo umarłych, pozornie zamkniętych. Wszyscy byliśmy świadkami, jak następujące wypadki nie pograżały Polskiego Września w niepamięć, ale wynosiły go pod rzutami w górę i co raz wyżej pod światło. Wszyscy byliśmy widzami pogłębiania się, rośnięcia wżwyz perspektywy, w której objawiła się prawdziwa tragiczna wielkość wrześniowej rozprawy. Kampania francuska i jej zgrzytliwy, przedczesny finał, bitwa o Wielką Brytanię i jej wspaniałe świadectwo o narodzie, który chce walczyć i jest zdolny walczyć, kampania grecka i jugosłowiańska, nawet kampania rosyjska — pokazały nam samym i całemu światu najwyższe proporcje polskiej ofiary.

Ale Kampania Wrześniowa żyje jeszcze w inny sposób. Żyje nie tylko poza nami, zmienia swój obraz w związku z biegiem zdarzeń. Kampania Wrześniowa żyje

także w nas. Perspektywa trzech lat jest dostatecznie przestrzenna, aby ocenić to jej życie tajne, cudowne, równie ważne a może jeszcze ważniejsze od tamtego życia.

Jeśli nam żywym, jeśli nam, którzy nie wyżyli swego losu do końca sądzić wolno: rok 1939 jest z tego polskiego gatunku co rok 1830, co rok 1863. Nikt z nas kto jest przytomny, kto jest odpowiedzialny przed sumieniem zbiorowym nie zaprzeczy błędów, win, karygodnych zaślepień tego roku. Nikt kto jest po męsku, po żołniersku silny nie zaprzeczy klęski, rozgromu, pobicia najbardziej straszliwego, jakie kiedykolwiek spadło na ziemię polską. Ale też nikt pojmujący choć trochę okrutny sens zdarzeń nie może przesłąpić prawdy, że ta klęska ponad miarę kosztowna, ponad miarę bolesna jest klęską — świętą.

Bo po Bordeaux i Montoire wie-

my, że mogą być zwycięstwa, na których dnie czai się klęska, jak trująca trucizna: takie było zwycięstwo francuskie w 1918 roku. Bo z nauki rewolucji listopadowej i styczniowego powstania wiemy, że są klęski nieodzowne, nieodparte potrzebne do zwycięstwa, klęski, które trzeba podjąć, wytrzymać, wycierpieć do końca, aby móc sięgać po zwycięstwo i móc je zdobyć. Bo czujemy, my żołnierze, bo widzimy, my synowie, bracia konspiratorów polskich, my synowie, mężowie, narzeczeni kobiet polskich, których cierpienie, pohańbienie i niezłomność zdają się sięgać ponad ludzką granicę — czujemy, widzimy, wiemy, że żyje w nas wszystkich, w nas i w nich, klęska wrześniowa jedną i tą samą wolą i siłą walki.

Żyje w nas, jak żył rok 30 w pololeniu polistopadowym, jak buchał płomieniem z duszy Mickiewi-

cza i Mochnackiego, jak przepalał serca w Towarzystwie Demokratycznym Polskim, jak Adamowi Czartoryskiemu kazał chłodno, usilnie, matematycznie ogarniać ogrom spraw i zagadnień europejskich w ustawicznym napięciu, w ustawicznym poszukiwaniu, gdzie wśród tych spraw i zagadnień jest miejsce na Polskę, jak żołnierzom kazał przykładać ucho do ziemi i nasłuchiwać i spieszyć wszędzie, gdzie wzbierał tumult walki o wolność czyjąkolwiek, aby doczekać się, dorobić, dowalczyć się walki o wolność swoją własną. Żyje klęska wrześniowa w każdym z nas, jak rok 63 żył w Piłsudskim, Paderewskim, Żeromskim, jak znaczył wysiłek myślowy, kierował działaniem nawet tych, którzy go potępiali, jak nachylał się cieniem żalobnym a wznosił nad światem każdego dziecka i brzmiał nad nim niby muzyka rozdzierają-

ca serce i hartująca je do bólu.

To jest wspólne tamtym godzinom dziejowym i tej, która wybiła wczesnym ranem pierwszego września 1939, że wybrały możliwość najtrudniejszą, ale jedynie godną i jedynie realną: możliwość walki. Że wybrały tę możliwość naprzekór pokusom, przykładom i zachętom i nawet, jak we wrześniu, naprzekór niemal od razu oczywistej prawdzie, iż jesteśmy za słabi, nieuzbrojeni, zwiedzeni przez własnych przewódców, wydani na przemoc, na łaskę i niełaskę wroga bez sumienia, bez litości, bez żadnego ludzkiego uczucia. To jest wspólne tamtym godzinom i tej sprzed trzech lat, że ten wybór dotrzymały do końca.

Wszystko, co się stało przez trzy minione lata wywodzi się z tego postanowienia, które powziął nie jeden człowiek, nie jedna klasa, jak w roku 1830, ani partia, jak w roku 1863, ani samozwańcza "elita," ale powziął go w głębi swego najtajniejszego instynktu życia naród, zbiorowość tajnie pamiętająca doświadczenia pokoleń i tajnie przeczuwająca drogi losów. Wszystko wywodzi się z tej decyzji. I opór Kraju, który trwa niezłamany, nieprzekupny za żadną cenę. I walka lotnika, któremu tamtą decyzją kupiono sprzęt. I walka marynarza, który dzięki tej decyzji zyskał możność walki na szerokich morzach. I walka żołnierza na ziemiach obcych, na rozstępie między zorzą polarną i słońcem tropików.

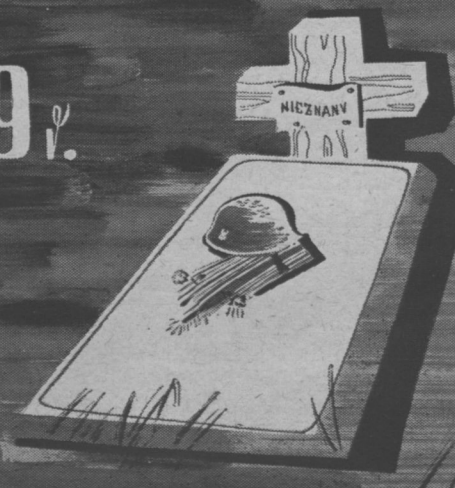
Ta decyzja jest niecofnięta, niezmienna, niezłomna. Czy walka ma trwać jeszcze miesiące czy lata — to jest tylko Bogu wiadome — trwać będzie aż do końca, aż do kresu, aż do prostego znaku, który ziemi zdeptanej, skrwawionej dadzą dzwony, aby zieleniła się i kwitła znów. Aby była szczęśliwa i nie cierpiała więcej. Aby dzieci nasze nie szukały już nigdy oręza na obczyźnie, ale spożywały w ojczyźnie chleb wypracowany własnymi rękami, rozdzielony wedle praw Bożych i najsprawiedliwszych praw ludzkich.

Niegodne spory, małoduszność, przyziemność ambicji przesłaniają emigracji co raz częściej widok na sprawy istotne, pierwsze i jedynie ważne. Nie mogą przesłaniać nam, żołnierzom, którzy jesteśmy wiernymi dziedzicami krwawego testamentu i krwawego dorobku Kampanii Wrześniowej. W tę rocznicę, która jest dla nas i będzie aż do dnia zwycięstwa najboleśniejszym, ale i najdroższym świętem, stajemy w milczeniu przed pamięcią tych, którzy polegli, którzy od pierwszego dnia i każdego dnia padają w Kraju, na obcych, dalekich ziemiach, oddają życia w powietrzu i na morzu. W milczeniu wszystkim umarłym i wszystkim gotowym umrzeć słubujemy jeszcze raz wierność decyzji Polskiego Września.

ODWET NADCHODZI



1.IX.39.



rys Zdzisław Borysowicz

TYMON TERLECKI

Dwie relacje o Westerplatte

W dniu 1 września wracamy znowu myślą do tej najchlubniejszej karty naszej kampanii wrześniowej, jaką stanowi obrona Westerplatte. Dotychczas nie mieliśmy żadnej relacji polskiej o tym epizodzie. Dzisiaj jesteśmy już w możności dać krótkie, żołnierskie sprawozdanie jednego z uczestników obrony oraz reportaż dziennikarza amerykańskiego, który był na Westerplatte w dniu 18 września 1939 r., więc niedługo po tragicznym finale obrony tego posterunku.

Oto co opowiada żołnierz polski — członek załogi Westerplatte:

“Od 25 sierpnia t.j. z chwilą przybycia pancernika ‘Sleszwig-Holsztein’ stan pogotowia załogi Westerplatte, który już od 22 marca obowiązywał, został zastrzyżony. Od zmroku do świtu około jedna trzecia załogi zajmowała wraz ze sprzętem, stanowiska bojowe w terenie.

Piękny wieczór dnia 31 sierpnia nie różnił się niczym od poprzednich. Patrole i ronty krążące w ciągu nocy w terenie nie zameldowały nic prócz tego, że kanał portu jest wyjątkowo pusty a w całym porcie panuje jakaś niesamowita cisza. Mimo to nikt nie przeczuwał takiej pobudki, jaka nastąpiła dnia 1 września o godzinie 4.40, w tej bowiem chwili zabrzęczały wszystkie szyby w koszarach od ognia ciężkich dział pancernika ‘Sleszwig-Holsztein,’ który stał w odległości około 600 metrów od nas w kanale portowym.

Stało się jasne, że wojna rozpoczęła. Alarm przebudzonej tak niespodziewanie części załogi, odbywał się już przy ‘graniu’ naszych ‘maszyn’ ze stanowisk polowych i wartowni. Za chwilę meldunek od dowódcy odcinka wschodniego wyjaśnił sytuację. Nieprzyjaciel wysadził w powietrze bramę kolejową i mur obok niej i przez tę wyrwę wdarł się na nasz teren. Zaskoczony ogniem broni maszynowej, której obecności w tym miejscu w nocy widocznie się nie spodziewał, począł się wycofywać na swoje stanowiska wyjściowe, ponosząc przy tym znaczne straty. Tak mniej więcej zaczęło się na Westerplatte.

Ogień z pancernika wzmógł się niebawem. Ze śpichlerzy i wszystkich wysokich budynków po drugiej stronie kanału odezwały się niemieckie karabiny maszynowe. Część z nich została zniszczona ogniem naszej 3-calówki, która niestety po oddaniu około 30 strzałów musiała zamilknąć, trafiona pociskiem nieprzyjacielskim. Dzielna obsługa działa została bez sprzętu. Pozostały nam prócz karabinów maszynowych tylko cztery Stokesy, których ogień ostatecznie zlikwidował natarcie nieprzyjaciela.

Jednak nasza wysunięta ku wschodniemu skrajowi Westerplatte linia obronna—musiała być na skutek ognia ciężkiej artylerii okrętowej opuszczona. Załoga jej wycofała się na rozkaz na linię umocnionych wartowni. Straty własne nieznaczne: 3 zabitych i 4 rannych. Reszta dnia przeszła względnie spokojnie. Próby nocnych natarć i wypadów nieprzyjaciela zostały łatwo zlikwidowane.

Dnia 2 września do godziny 17-tej nie było szczególnych wydarzeń. Do ostrzeliwania bowiem przez artylerię zdołaliśmy już przywyknąć. O godzinie 17-ej naloł nieprzyjacielskich eskadr i bombardowanie Westerplatte. Przestrzeń około 50 ha. bombardowała przez pół godziny 47 samolotów, zrzucając grad bomb różnego kalibru, od 2 do 500 kg. Dopiero zmierzch przerwał to piekielne bombardowanie, po którym nasz teren wyglądał jak powierźchnia księżycy—krater koło krateru.

Górne kondygnacje koszar w ruinie. Brak niestety wartowni numer 5, która zrównana została z ziemią, a bohaterka jej załoga znalazła swój grób w jej ruinach. Łączność telefoniczna i sygnalizacja świetlna zniszczone. Radiostacja uszkodzona i nie do użytku. Na przedpolu pożar podszycia leśnego i siana. Kuchnia zniszczona, piekarnia uszkodzona. Wodociąg i kanalizacja rozbite. Jednym słowem obronność umocnień stałych i koszar mocno nadwyrężona. Łączność telefoniczna zniszczona za dnia, musiała być improwizowana w nocy i tak było przez cały czas.

Krytyczny okres po tym bom-

bardowaniu stanowiły dwie pierwsze godziny. Po ich upływie byliśmy już gotowi znowu do dalszej obrony. Natarcie nieprzyjaciela wyszło jednak dopiero w pięć godzin po naloce. Zostało odparte.

Odtąd dzień do dnia był podobny. Codzienne ostrzeliwanie działami okrętowymi i artylerią z lądu trwało po kilka godzin. Szczerbiło ono nasze nadwyrężone już mocno mury i niszczyło ubogi sprzęt ogniowy. Na stanowiskach stali jedni i ci sami ludzie—byli już u kresu sił fizycznych. Stan moralny załogi przez cały czas był wspaniały. Trzynaście natarć niemieckich w ciągu tych siedmiu dni i nocy zostały odparte.

Kiedy jednak w siódmym dniu walki została zburzona ogniem ciężkich moździerzy wartownia nr. 2, a inne były również mocno nadwyrężone, stało się dla nas jasne, że opór nasz dobiega końca. Nasi ciężko ranni, których część została następnie zabita odłamkami pocisków artyleryjskich, nie mieli potrzebnej pomocy, poza prowizorycznymi zabiegami na punkcie opatrunkowym. Położenie w kraju, o którym—mimo uszkodzenia radiostacji—częściowo dowiedzieliśmy się, wykluczyło możliwość zmiany naszego położenia na lepsze.”



Major Henryk Sucharski, dowódca Westerplatte

“Drzewa, gęsto poprzednio rosnące — przedstawiały żaloszny widok. Biegły one pasem od cypła półwyspu, gdzie znajdowały się składki amunicji. Żaden pożar nie mógł ich dokładnie wytrzebić. Z postrzępionych pni sterczały nieliczne gałęzie. Nie było drzewa z

dów załogi. Wylazyły te zamknięte były grubymi, stalowymi, z ręcznie zamaskowanymi drzwiami. Głęboko w ziemi umieszczono magazyny i kwaterę dowództwa Westerplatte.

Chociaż Polakom w ogóle brak było odpowiedniej artylerii, zdolnej przeciwstawić się niemieckiej przewadze ognia, udowodnili oni wysoką wartość karabinów maszynowych i działek ppanc. działających z dobrych schronów.

Jeden z oficerów niemieckich podniósł coś z ziemi, mówiąc:

—Proszę patrzeć.—Były to dwa splecione, zakrzywione gwoździe z bardzo ostrymi końcami.—Polacy rozrzućili to między drzewami otaczającymi koszarę. Gdy nawet najgrubszym butem nastąpi się na ten przedmiot, przecina go podszewką jakby była z papieru.

Te złośliwe, małe ostrogi tym się odznaczały, że jakkolwiek by je rzucić na ziemię, ostrze zawsze sterczało do góry.

—Las jest pełen tych pułapek—rzekł oficer.—Nie mieliśmy jeszcze czasu ich pousuwać, więc proszę trzymać się ścieżki.

Nie trzeba dodawać, że nikt nie odważył się zejść na bok.

Leje po pociskach, piętnaście stóp głębokie i czterdzieści szerokie zryły ziemię pomiędzy składa-

Dwa groby polskich żołnierzy znajdowały się przed głównym budynkiem. Bronzowe furazerki wisiały na krzyskach z surowego drzewa. Wszyscy zdejmowali nakrycia głowy przechodząc koło tych grobów. Towarzyszący nam oficerowie niemieccy salutowali je.

W trzy tygodnie później, kiedy znowu byłem na Westerplatte, tych grobów już nie było. Kiedy spytałem, gdzie są, nikt nie mógł odpowiedzieć. Przewodnicy, którzy byli z nami twierdzili, że nie było tu żadnych grobów. Louis Lochner zrobił kilka zdjęć tych grobów w dniu 19.IX.39. Fotografie te pozostały i świadczą niezbicie, że groby się tam znajdowały. Czy zwłoki zostały przeniesione, tego nie wiem.

Budynki koszar zostały całkowicie zniszczone. Jeden tylko lepiej siętrzymał, chociaż jego dach się zapadł a mury zostały wielokrotnie podziurawione pociskami. W czterech rogach budynku pozostały nienaruszone karabiny maszynowe. Karabiny te umieszczone były w suterynach a szerokie otwory strzelnicze pozwalały im ostrzeliwać przedpole na łuku 45 stopni.

Bomby padły wszędzie. Trafiony został duży schron /wartownia/. Jego wnętrze było dla mnie najokropniejszym widokiem z całej kampanii polskiej. Jedna z najcięższych bomb—oficer mówił, że ważyła 2.000 funtów—padła tuż obok pochylego, betonowego sklepienia schronu. Lej, który powstał miał 60 stóp średnicy i 20 stóp głębokości. Cały schron przechylił się, dach uległ wgnieceniu do środka a grube na 3 stopy ściany skrzywiły jak dziecinna zabawka.

Schodząc do schronu wśród brył betonu i poskręcanych szyn kolejowych, stanowiących szkielet umocnienia, poczuliśmy dziwny zapach. W chwili kiedy bomba padła, żołnierz gotował strawę. Niezwykle silna eksplozja rzuciła go w górę, wtłaczając między zapadnięty dach schronu a pokrywane ściany. Trup żołnierza splonął od ognia powstałego przy wybuchu bomby. Kawałki mundurki zostały wgniecione w szczeliny ścian. Szczerniałe kości i ciało gniły w mrocznym schronie.

Gdy drugi raz byłem na Westerplatte, trup tego żołnierza nie był jeszcze usunięty, wzbudzając jeszcze bardziej odrażające uczucie. Kuchnia, na której gotował—odrzuciona została daleko w kąt schronu. Z innych żołnierzy, którzy w chwili wybuchu bomby stali przy nim—pozostały tylko... naboje, które mieli w ładownicach. W schronie tym nikt się nie uratował. Nasz przewodnik—oficer niemiecki twierdził, że w tym schronie znalazło śmierć 20-u żołnierzy.

Lotnik niemiecki rzucił tę bombę z wysokości 50 stóp. Za czym ten został odznaczony ‘Żelaznym Krzyżem.’ Później dowiedziałem się, że ten sam lotnik został zestrzelony nad Anglią.”

Tyle dziennikarz amerykański, którego relacja mimo niezaprzeżalnej szczerości nie zawsze oddaje prawdziwy obraz obrony Westerplatte, gdyż był on informowany przez oficerów niemieckich, którzy towarzyszyli wycieczce dziennikarskiej.

Nam żołnierzom dla wyobrażenia sobie walk na Westerplatte wystarczą następujące elementy: około 200 polskich żołnierzy broni się przez siedem dni i nocy w koszarach i umocnionych wartowniach przeciwko wielokrotnie przeważającym siłom—nacierającym kilku kompaniom szturmowym niemieckiej marynarki wojennej, batalionowi wystawionemu przez gdańską partię narodowo-socjalistyczną i oddziałom gdańskiej obrony nadbrzeżnej. Główną bronią Polaków są karabiny maszynowe i jedna połówka przeciwko ciężkim działom pancernika ‘Sleszwig-Holsztein,’ kilku bateriom lądowym i niezliczonej ilości karabinów maszynowych. Ponadto bombowce nurkujące bombardowały Westerplatte z powietrza przez cały czas walk.

To jest dotykalna, arytmetyczna miara bohaterstwa obrońców polskiego posterunku nad polskim morzem, w Gdańsku, który był i będzie polski.

MIECZYSLAW PRZECZOWSKI



Półwysp Westerplatte z lotu ptaka, oddzielony od Gdańska kanałem Martwej Wisły, w którym stał pancernik niemiecki Sleszwig-Holsztein

Dowódca Westerplatte, major Henryk Sucharski powziął dnia 7 września o godzinie 10.15 smutną decyzję kapitulacji. Tej tragicznej chwili nie złagodziły mu gratulacje dowódców niemieckich i pozostawienie szabli przez dowodzącego w Gdańsku gen. Eberhardta.

Ten lakoniczny obraz historycznej obrony dopełni wyjątek z relacji dziennikarza amerykańskiego Johna Mc Cutcheon Raleigh'a, który w książce p.t. ‘Behind the Nazi Front’ tak opisuje swoje wrażenia z pobytu na Westerplatte w kilka dni po kapitulacji:

nienaruszonymi górnymi gałęziami lub bez uciętego wierzchołka. Kora z drzew była zdarta a ziemia wokół nich pokryta drzazgami.

Pierwszy budynek, do którego zbliżyliśmy się był domem dowódcy Westerplatte. Zostały z niego tylko ruiny.

Główne umocnienia, poza szczególnie narażonymi wartowniami dobrze wytrzymały ogień dział niemieckich. Przeszliśmy przez ciemne, wietrzne chodniki podszalowane grubymi deskami, ze strzelnicami dla karabinów maszynowych i specjalnymi wyjściami z betonowym sklepieniem dla wypa-

Fragment Westerplatte po oblężeniu



© Musées de Grasse, Alpes-Maritimes

Barykada na Łyczakowie

B.D.I.C



Herbowy lew Lwowa

Był posepny dzień listopadowy 1939 r. Późna rumuńska jesień plakała nad naszą dolą tulać strugami zimnego deszczu, zrywająca się chwilami wichura otrząsała z drzew ostatnie liście i bila nimi w okna polskiej garkuchni, gdzie wśród oparów zmoczonej odzieży i dymu tytoniowego roil się tłum uchodźczy w oczekiwaniu na mizerny obiad. Atmosfera panowała taka, że właściwie nie pozostawało nic, jak tylko „siaść i plakać.”

W takim dniu właśnie poznałem Andrzeja. Nie zauważyłem kiedy wszedł, zobaczyłem go dopiero wtedy, gdy zbliżył się do stolika szukając miejsca. Przysiadł się bąknawszy coś pod nosem. Nie zwracając na mnie prawie żadnej uwagi, zapatrzył się w beznadziejną rzeczywistość rumuńskiej miasteczka. Był młody, zapewne nie przekroczył jeszcze trzydziestki. Skupione rysy twarzy i stalowo-szare oczy kazaly w nim przeczuwać mocnego, energicznego człowieka. Ale dziś ta energia jakby odeszła od niego, jakby go opuściła. Siedzieliśmy chwilę w milczeniu, aż wreszcie Andrzej odwrócił się od okna. Zaryzykowałem pytanie:

—Z Czerniowiec?

—Tak.

—Przez Czeremosz?

Spojrzął na mnie zdziwiony.

—Skąd pan wie?

—Ubranie zdradza.

Ubranie zaś miał wymięte do niemożliwości. Tak zawsze wyglądali ci, co nocą brnęli przez rzekę na rumuński brzeg, a potem grzęźli na kilka tygodni w czerniowieckim więzieniu. To był „znak” rozpoznawczy. Z początku „normalna” stawka za wyrwanie się z świeżo zainstalowanego „raju” wynosiła dwa tygodnie, później ceła wolności została podwyższona do jednego miesiąca i właśnie Andrzej był jedną z pierwszych ofiar zastrzeżenia „neutralności” naszych rumuńskich—pozał się Boże!—aliantów. Pragnąłem gorąco dowiedzieć się czegoś o życiu w Kraju od tego człowieka, ale nie umiałem zacząć rozmowy o rzeczach bolesnych, świeżych. Zdobyłem się jednak na odwagę:

—Gdzie pan walczył?

—We Lwowie.

Padło między nas to słowo, jak błysk światła w rozpaczy i niedoli. Nie nalegałem, nie powiedziałem ani jednego słowa więcej, a jednak Andrzej zaczął mówić:

—Wojna zastała mnie blisko naszej zachodniej granicy, ale po dziesięciu dniach walki znalazłem się już pod Lwowem. Jednostka, w której walczyłem, poniosła okropne straty... Przydzielono mnie później do jednego z tych nielicznych batalionów, którym powierzono obronę Lwowa. Był, podobno, plan powołania ludności cywilnej do pomocy, ale 11-go września, kiedy przybyłem do miasta, zawiadomiono właśnie mieszkańców, że wyłącznie wojsko bierze na siebie ciężar obrony i...

zarządzono ewakuację urzędów.

Następnego dnia Niemcy przypuścili pierwszy atak od strony rogatki Gródeckiej. Kilka czołgów wdarło się nawet na przedmieście. Nie wrócił ani jeden. I noga niemiecka z nich nie uszła! Wiadomość o odparciu ataku rozeszła się piorunem po Lwowie. Miasto promieniało, odżyło tym pierwszym sukcesem. Cóż stąd, że z zapadnięciem zmierzchu ruszyła przez zaciemnione ulice fala uciekinierów, że niebo czerwienilo się od łun pożarów wznieconych przez bomby, że artyleria niemiecka rozpoczęła ostrzeliwanie? „Przeżyliśmy to już raz, przetrwaliśmy—mówili mi znajomi i przyjaciele—będzie tak jak w roku 1918.” Nie miałem odwagi burzyć tej głębokiej wiary trzeźwym, sceptycznym słowem, ja żołnierz rozbitej dywizji, który widział straszliwą przemoc wroga i przeżył piekło odwrotu. A zresztą przecież i w moim sercu żyła nadzieja, że właśnie u bram mojego Lwowa zatrzyma się pochód wroga, że właśnie stąd wyjdzie oczekiwane, zwycięskie przeciwnatarcie...

Na drugi dzień otrzymałem rozkaz obsadzenia odcinka w pobliżu rogatki Łyczakowskiej. Dano mi pluton, z którym przystąpiłem zaraz do „umocnienia terenu.” Zaledwie żołnierze wzięli się do roboty, wyrolił się z malych, przedmiejskich uliczek tłum pomocników. Były kobiety i dzieci, a w ogóle element młodociany przeważał. Ucieszyłem się pomocą, ale kiedy chciałem najmłodszych odprawić do domu, podniósł się taki rwetes, że musiałem ustąpić.

Znalazło się w gromadzie kilku harcerzy, którzy pomogli mi w zorganizowaniu pracy. Przyciągnięto dwie poharatane ciężarówki, porzucone gdzieś na szosie. Miały stanowić podstawę barykady. W mgnieniu oka napełniono karoserie kamieniami, gruzem, wyrwanymi z „bruku” płytami, zewsząd znoszone worki z piaskiem, kosze wypełnione ziemią, którą wysypywano między pale wbite w grunt. Zrucano na kupę różnego rodzaju „budulec”: jakieś połamane sprzęty, deski; małe bachory nie mogąc niczym innym się przysłużyć, dźwigały kamienie, którymi uszczelniano luki.

Nagle zawyły syreny alarmowe, odezwała się artyleria przeciwlotnicza, a spokojny, bezchmurny błękit nieba splamiony rdzawo-czarne obłoczki wybuchów. Na barykadzie jednak nie ustała praca ani na chwilę. Z trudem udało mi się tylko zapędzić najmłodszych pederków do schronów i piwnic.

Po południu barykada była już zgrubsza gotowa, ale robót „fortyfikacyjnych” nie przerwano. Wykopaliliśmy kilka pułapek przeciwczołgowych, przygotowali prowizoryczne schrony i rowy dobiegowe, postawili zasieki z drutu kolczastego. Naloty niemieckie, niezbyt groźne zresztą dla naszej dzielnicy, powtórzyły się jeszcze kilka razy i ustały dopiero z zapadnięciem zmierzchu. Rozstawiłem czujki i wysunąłem dwie małe placówki w stronę szosy wiodącej

do Winnik, skąd spodziewaliśmy się niemieckiego natarcia.

Zarządziwszy wszystko i obszedłszy posterunki, udałem się na kwatery do domu popularnego na Łyczakowie mistrza murarskiego. Na parterze w tej samej kamienicy, w dużej izbie, zorganizowałem coś w rodzaju wartowni i świetlicy jednocześnie. Gwaro w niej było i tłoczno. Było kilku moich żołnierzy, zeszli się sąsiedzi gospodarza. Z aparatu radiowego płynęły na przemian skoczne piosenki żołnierskie i komunikaty, mówiące o walkach odwrotowych, o oporze „na linii Sanu,” o ofensywie Aliantów na linię Zygfrйда. Nastroj wśród zebranych był pełen ufności; wzniesienie barykady w pobliżu utwierdziło wszystkich w przekonaniu, że Lwów będzie broniony do ostatka. Serce mi rosło, kiedy patrzyłem na wiare i zapal tych ludzi.

Wróciłem na barykadę do żołnierzy. W dole w ciemnościach leżało miasto. Gdzieś na Zniesieniu dogasał pożar, druga luna różowiła niebo w okolicy Dworca Głównego, przytłumiony gwar jących bez przerwy wozów dochodził aż do mnie, ale jakiś przytłumiony, jakby nierealny. I strzały artylerii niemieckiej nekającej Bogdanówkę, także wydawały mi się zgluszone i niegroźne.

Tej nocy odeszły ode mnie rozpac i zwątpienie. Po tylu dniach nierównej walki, beznadziejnego odwrotu, nareszcie noc bez wycofywania się! Stoje oto na barykadzie, wzniezionej na ulicy rodzinnego miasta, mam garść dobrych, zdecydowanych żołnierzy, otaczają mnie dzielni, ufni obywatele. Cóż dziwnego, że zmałało w moich oczach niebezpieczeństwo, a wróg nie wydawał mi się taki przemożny.—

Pociemniały mu ze wzruszenia oczy, więc przerwał na chwilę opowiadanie, ale po tym podjął je znowu:

—Minęło kilka dni czuwania. Gdybym był wpadł na pomysł wydawania barykadowych biuletynów wojennych, byłbym zapewne w myśl ustalonej tradycji zaznaczył, że w tych dniach „nie zaszło nic godnego uwagi.” Po prostu żywałem się ze swoją funkcją dowódcy barykady, wysyłałem dalekie patrole na przedpole, zorganizowałem łączność z sąsiednimi odcinkami, wybrałem mocną kamienicę na punkt opatrunkowy, chciałem do tej pory nikt z mego oddziału nie został ranny.

Żołnierze trochę nudzili się, byli nawet tacy, którzy narzekali, że na innych odcinkach: na Gródku, na Hołosku jest „ciekawą robotą,” gdy tymczasem na Łyczakowie prędkiej można sobie oczy wypatrzeć zanim się Niemca zobaczy. Cóż było począć? Istotnie w naszej okolicy panował spokój, jeśli nie liczyć kilku nalotów dziennych, jeśli nie liczyć pocisków artyleryjskich, które o mało nas nie „wymacały,” niszcząc szereg domów w naszej dzielnicy. I jeśli nie liczyć tych strzałów z ukrycia, które huczały w ciemne wieczory i kul zdradzieckich, które słała w naszą stronę opętana ślepa nienawiścią hajdamacka ręka... Trzeba było zarządzać poszukiwania i wyprawy. Ciężko o tym mówić...

Za to ludność Łyczakowa, potłokowie słynnych kruparzy i piaskarzy, otaczała mnie i moich żołnierzy najserdeczniejszą opieką. Nie zbywało nam na niczym, mimo iż w zatłoczonym rzeszami uchodźców mieście, niejednego już brakowało. Nikt się tym jednak z wyjątkiem „zawodowych” i ogólnie za psie poszycie mianych panikarzy nie przejmował. Trwała wiara w zwycięstwo, mimo co raz cięższego bombardowania miasta, mimo przerażających wieści, które docierały do wszystkich.

Załoga Lwowa wzrosła poważnie w tych dniach oblężenia: drobne oddziały żołnierzy przebijały się przez linie wroga i dołączały do szeregów obrońców; pogubione rozbite kompanie i plutony przedzierały się do Lwowa w nadziei, że tam będą walczyć. W drugiej dekadzie tragicznego polskiego września były dwa miasta, jak dwa potężne magnesy, ogniskujące zbiorową wolę walki do ostatka: Warszawa i Lwów. Imię stolicy

było na ustach wszystkich, gorzało jak jasny płomień w co raz bardziej ponurej ciemności.

Nie zapomnę nigdy tych wieczorów, które spędzałem z żołnierzami w naszej świetlicy barykadowej. Już nie ogłaszano komunikatów naczelnego dowództwa, zamilkły już wszystkie stacje radiowe, w eterze rozbrzmiewał tylko urągły szwargot niemiecki, huczały pruskie marsze wojskowe. Każdego wieczora z trwogą czekał na głos stolicy, niepewni czy miasto jeszcze się broni. I każdego wieczora spod przeraźliwych gwizdów i ryków wydobywał się głos pełen wiary i męstwa. Często słowa ginęły w piekielnym hałasie i tylko sygnał radiowy był dla nas oddalonych znakiem, że walka nie ustała.

Któregoś dnia otrzymałem „posiłki.” Trzydziestu ludzi z dwoma erkaemami wzmocniło załogę mojej barykady. Przybyli w samą porę, jakby na zamówienie, bo właśnie w tym dniu szykowało się niemieckie natarcie na nasz odcinek. Uplywały kwadrans ostrego pogotowia i już się zdawało, że się wszystko „rozejdzie po kościach,” gdy otrzymałem meldunek, że zbliża się patrol niemieckich motocyklistów. Leżałem właśnie z dwiema drużynami o jakieś 300 m. przed barykadą, za którą czekały moje „odwoły.”

Czekaliśmy w napięciu. Nagle daleko na szosie podniósł się tuman kurz. Jada! Celowniczy najbliższego erkaemu „starannie gniatał stopkę w „dolek strzelecki.” Zakazałem strzelać, póki Niemcy nie zbliżą się na przyzwolną odległość. Czekaliśmy dalej spokojnie. A Niemcy tymczasem posuwali się stosunkowo wolno. Nie wiadomo, czy nie przypuszczali, że mogą natrafić na opór, czy może zawiody jakieś inne obliczenia czerwono-brunatnej „współpracy” dość, że dopiero po dłuższej chwili mieliśmy ich jak na dłoni.

Poszły dwie krótkie serie, a potem zdyszana pałba karabinowa. Na szosie już przesłonił widok. Kilka kul gwizdnęło nam nad głowami, ale tyle też było oporu niemieckich „rycerzy.” Spojrzałem bowiem, że obłok kurzu wydłuża się, ale nie w naszą stronę. Niemcy wiali z powrotem, tym razem istotnie w „blitzowym” tempie, na pełnym gazie. Na placu zostały trzy trupy i dwa potrąskane kulami motocykle, które z wielkim triumfem sprowadziliśmy na barykadę. Dzieciarnia wyległa oglądać te lupy, jakby to były co najmniej „Grube Berty.”

Przepędzenie patrolu motocyklistów zapowiadało jakąś poważniejszą akcję, ale ani w tym dniu, ani w następnym nic z tego nie wyszło. Z początku dziwiłymi się wszyscy, później dopiero sprawa się wyjaśniła...

Tragicznej niedzieli 17 września nadeszła niespodziewana wieść... Spadł grom z jasnego nieba, ale z początku nie wierzyliśmy jeszcze naszemu nieszczęściu. Niektórzy sędzieli nawet, że to pomoc nadchodzi. W ciągu następnego kilku dni rozwiały się te nadzieje. Cień śmierci padł na Lwów. Na przedpolach miasta trwała jeszcze walka z Niemcami; jeszcze na chwilę rozjaśniła horyzont wieść o ciągnącej odsieczy, o pogromie Niemców nad Wereszycą.

Na mojej barykadzie panował spokój. Żołnierze pełnili normalną służbę. Nad miastem huczały niemieckie samoloty, w nocy bębniła uparcie wraza artyleria. W świetlicy co raz bardziej ponuro było wieczorami, co raz trudniej słyszaliby głos broniącej się jeszcze Warszawy.

Aż przyszła noc ostatnia. Pierwsza noc spokojna, bez strzałów, przeraźliwie cicha i dlatego właśnie taka okropna, bez nadziei. Wieczorem, na odprawie powiedziano nam wszystko. To już był koniec. Rano na wyznaczonych punktach mieliśmy składać broń. Wróciłem do żołnierzy z powtórzyłem im wiernie wszystko, co mi zlecono. Zapadła grobowa cisza, gdy skończyłem, nie padło ani jedno słowo. Tej nocy nikt z nas oka nie zmrużył, siedzieliśmy wszyscy razem zgnębieni, przybici. Skończona walka, niepotrzebny dalszy trud...

Jednak na barykadzie zmieniały się posterunki przez całą noc. Ciężko nam było pogodzić się z myślą, że jesteście już niepotrzebni, więc czualiśmy. Ja sam ciężkie przeżywałem chwile. Kole-dy mnie ostrzegali, abym za wszelką cenę starał się ułotnić, gdyż jako oficer więcej ryzykuje. Chwilami brała mnie chętka pod byle jakim pozorem pożegnać się z żołnierzami i uciekać, nie przeżywać tego, co jutro stać się miało. Ale jakże można było opuścić wiernych kolegów? Zostałem więc.

O świcie przystąpiliśmy do rozebrania barykady. Taki był rozkaz. Pracowaliśmy w takim nastroju jakby nam własne groby kopać kazano. Zbiegli się ludzie z okolicy, pomagali, z płaczem niektórzy. Zasypanymi z ich pomocą rowy, pułapki, odciągali na bok ciężarów-ki. Wylot ulicy był znowu wolny. Zarządziłem ostatnią zbiórkę, stanęli sprawnie w dwuszeregu, sierżant zdał raport. Ostatni raz sprezentowali broń. Na chwałę Ojczyźnie, na cześć najdroższemu Miastu, które trzeba było porzucić.

Pomaszerowaliśmy. Żegnaliśmy nas błogosławieństwa i płacz Łyczakowian. Dzieci z krzykiem biegły za żołnierzami. Ulica Łyczakowska była pusta, ale w oknach mieszkańców stali ludzie patrząc w niemym smutku na nasz wymarsz. Wiedzieli wszyscy dobrze dokąd idziemy. W szeregach panowała cisza mimo komendy: „spocznij.” Aż nagle w przedostatniej czwórce zaśpiewał ktoś rozpaczliwie:

„Szeregami lwowskie dzieci
Idą tulać się po świecie.”

Nikt nie podjął melodii, więc i niefortunny śpiewak zamilkł. Dochodziliśmy już do placu Bernardyńskiego. Tłumy ludzi stały po obu stronach jezdni. Kobiety płakały. Zbliżyliśmy się do wyznaczonego miejsca. Żołnierze bez komendy przyciągnęli karabiny, zadudnił po bruku „równy krok.”

W pewnym momencie, gdy wskutek zatarasowania ulicy pochód się zatrzymał, ktoś mnie chwycił za rękę. Spojrzałem i poznałem mego kolegę już w cywilnym przebraniu. „Uciekaj natychmiast!”—usłyszałem. Jednym spojrzeniem pożegnałem się z żołnierzami, uściśnłem dłoń sierżanta, który zajął moje miejsce—i uskokyłem w bok. Tłum rozstał się momentalnie. Wpadłem do jakiejś bramy, gdzie już kilku innych kolegów przebiegało się gorączkowo. Zdjąłem czym prędzej czapkę i naramienniki, ktoś podał mi surdut i wcisnął kaszkiet na głowę. Wy-sunąłem się chytkiem i wpadłem w pustą uliczkę...

Dalsze dzieje są już szablonowe i zwykłe. Ukrywałem się u znajomych przez kilka tygodni, przepytawałem wśród ludzi ostrożnie, co dalej począć. Widziałem miasto pod nową okupacją, przeżywałem rozpaczliwe, najcięższe pierwsze dni niewoli. Po tym przyszła wiadomość o wojsku we Francji. Sprawa była jasna. W nocy przedostałem się przez Czeremosz, odśledziłem swoje w Czerniowcach i oto jestem tutaj. W przejeździe —dorzucił na zakończenie.

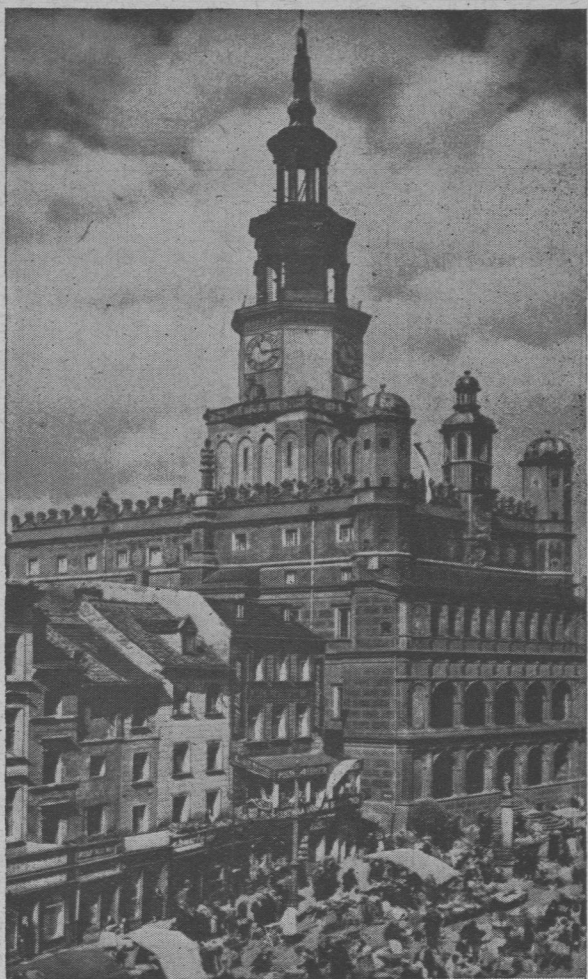
W jądłodajni tymczasem prze-rzedziło się trochę, zjedliśmy więc spokojnie obiad, a zaraz po tym wziął Andrzej na obroty przez komitetu pomocy, dopytując troskliwie, czy już się zarejestrował, czy ma kwatery. Andrzej siłą się na uprzejmość. Podziękował pięknie za życzliwość i chęć pomocy. Nie warto sobie głowy zaprzątać jego sprawami, da sobie radę.

Na drugi dzień zobaczyłem go raz jeszcze, po czym zniknął z miasteczka.

We Francji go nie spotkałem. Mówiono, że podążył do Syrii, do armii Weyganda. Dużo ciężkich, kłeszkowych miesięcy przetoczyło się nad nami od chwili, kiedy poznałem Andrzeja. Nie widziałem go od czasu spotkania w Rumunii, nie wymieniliśmy ani jednego listu. Kiedy jednak pewnego je-siennego dnia nadeszła wiadomość, o przybyciu Brygady Karpackiej do oblężonego Tobruku, pomyśla-łem, że oto Andrzej rozpoczął już drogę powrotną do Lwowa.

LUDWIK BOJCZUK

Miasto opuszczone



Ratusz na rynku poznańskim

Ranek czwartego września był równie niesamowity, jak milcząca noc, która go poprzedziła. Radia nie było co nastawiać. Poznań milczał, unieruchomiony w sobotę, wywieziony w niedzielę. Niemcy podawali zwycięskie komunikaty. Warszawa szarpała nerwy nieopanowaniem.

Miasto kąpało się w słońcu. Z nieba szła wielka radość życia. Zieleń drzew, którymi Poznań jest przetkany gęsto, jakby pięknym haftem, była świeża i jeszcze nieskażona wędzącymi kolorami wczesniej jesieni. Natomiast wśród kamienic, w ciszy domów tłuki się niepokój.

— Policji nie ma!
— Poczta zamknięta!
— Telefony nie funkcjonują!
Straż ogniowa wyjechała!
— Prezydent miasta uciekł!
Miasto wiedziało już, że skazano je na opuszczenie.

Nie pomogła cicha ewakuacja, niewątpliwie konieczna, ale wstydliwa. Nerwy administracji zostały sparaliżowane, środowisko musiało reagować. Musiało reagować zwłaszcza dlatego, że w opuszczeniu zionęło grozą bezradności. Przed dyrekcją poczty tłum drobnych urzędników gestykułuje z niepokojem. Bramy zamknięte, kluczy nie ma, naczelnicy wychęchali. Na ulicach małe grupki ludzi komentują wypadki. Kupcy zabijają okna sklepów deskami. W Komendzie Miasta pusto; zandarma wojskowego przed bramą zlużował harcercz. Dźwiga ogromny, długi karabin. Odpowiada:

— Wojsko opuściło Poznań. Mówi to na wesoło. Gdy się ma trzynasto lat to często najtragiczniejsze wypadki cieszą posmakami wielkiej przygody. Przed centralą telefonów znówu tłumy telefonistek, listonoszy, niższych funkcjonariuszy. Na Placu Sapiieżyńskim, choć poniedziałek, nikt nie sprzedaje warzyw, tylko wszędzie pełno ludzi, błądzących, belkoczących słowa bez związku. Właściwie ulice wyglądają tak, jakby zaraz miała tędy przechodzić procesja, nie! raczej pochód demonstracyjny. Będą zaraz wywieźć transparenty. Pójdzie ulicą wrzawa okrzyków. Bo miasto z

Por. "Tak się zaczęło w Poznaniu," druk w nr. 35 "Polski Walczącej" z ub.r.

O godzinie dziesiątej sala Ratusza wrzała niepokojem mrowiska, którego spójność ktoś nagłe zakłócił. Zebranie zwołał Stanisław Celichowski, aby postanowić, co zrobić z porzuconą administracją miasta. Na ścianach te same portrety gospodarzy miasta, Paderewskiego, Dmowskiego, prezydentów Polski. Także Józef Piłsudski patrzy z ram tym samym co zawsze spokojnym wzrokiem.

Ci sami woźni. Na trybunie burmistrza ten sam Stanisław Celichowski, którego wyboru na gospodarza Poznania jeszcze tak niedawno władze państwowe nie chciały zatwierdzić. Tylko że tłum ludzi zaludniających ławy radzieckie nie przypomina w niczym tak nieraz prześwietych zgromadzeń, na które schodzą się, aby uchwałać akademie, przyjmować order, móc uściśnić dłoń pana wojewody, lub jakiegoś gościa z Warszawy. Tamte twarze przepadły, jakby wyliczał to Wyrwicz — "pan wojewoda też, prezydent, radca, naczelnik, prezes... też." Jest natomiast stolarz z Chwaliszewa, sklepikarz z Wildy, węglarz z ulicy Żydowskiej, przewodniczący "Sokoła" z Łazarza. Ludzie bez nazwisk odczytanych po gazetach. Rece do uściśnienia spracowane, twarde. W oczach gorączka. Na ustach jakieś hamowane krzyki, żądania, projekty. Prawie ślepy, noszący w myślach tyle lat pracy dziennikarskiej w Poznaniu a w sercu dziesiątki lat rozumienia regionalnego patriotyzmu, Tadeusz P... , szepce mi do ucha:

Celichowski trzyma zebranie mocno w garści. Ucina dyskusje nad tworzeniem sekcji i komisji. Zapowiada, że bierze sam za wszystko odpowiedzialność. Wzywa do spokoju i do nieprzerwywania pracy. Zadania prasowo-propagandowe, tak ważne w chwili, w której ludzie chcą przede wszystkim wiedzieć, obejmuje P... (Ten sam dziennikarz z kilkanaście dni później złoży Greiserowi wniosek o wydawanie pisma polskiego w Poznaniu. Wniosek zostanie odrzucony, ale fakt ten pozostaje dowodem troski polskiego dziennikarstwa o pełnienie swej misji nawet w chwilach, zdawało by się, beznadziejnych).

Ma być utworzona straż obywatelska. Ba! Nie ma amunicji, nie ma karabinów. I zaraz padają nowe oskarżenia. Celichowski ostrym chwytym wraca do tematu. W trakcie zebrania weszli razem na salę prezes Ziemstwa Ż... , stary szambelan T... z synem i K... ze Związku Cukrowników. Oświadczyli, że zorganizują pomoc banków i rzeczywiście dużo potem pomogli.

Celichowski jakoś obsadził opuszczone komisariaty policji. Rozrzucił po mieście patroli straży obywatelskiej, ale nie mógł długo pozostać na swym stanowisku. Wszak nad każdym z wybitniejszych ludzi zawisła konieczność zdecydowania się — zostać, dzielić niedole miasta, narazić się na aresztowania, może stracić życie? A przecież przydam się memu społeczeństwu, a przecież z nawaly zła pozostaje narazie mniejsze zło, niż opuszczenia współziomków w nieszczęściu, aby uniknąć zła większego, katastrofy oddania wszystkich osób politycznie zaangażowanych w walkę z Niemcami na pastwę obozów koncentracyjnych i rozstrzeliwań.

Celichowski uległ perswazjom przyjaciół i wieczorem tego pamiętnego poniedziałku przelał władzę nad miastem w ręce Cyryla Ratajskiego. Ten, nie tak wybitnie zaangażowany w Powstanie Wielkopolskie, dźwignął krzyż doświadczeń tych dni aż na Golgotę oddawania władzy w ręce Niemców. Historia zapisze to jako jedną z największych tragedii tego niepospolitego człowieka, wielkiego patriotę.

Miasto pulsowało gorączką. Już gdzieś rozbito jakieś sklepy niemieckie. Skądś harcercze przyprowadzili dywersantów niemieckich, przydybanych na gorącym uczynku. Mężczyznom gorzały policzki.

—Kijami zagroźmy drogę Niemcom.

Kobiety chciały łać gorącą wodę

© Musées de Grasse, Alpes-Maritimes

na głowy wkraczających wojsk niemieckich. Zwykle odruchy chwili ustępujące potem fali zastanowienia i rozważni.

A redakcja trwała na posterunku, choć tak trudno było trzymać nerwy w cuglach opanowania. K... —kierownik drukarni, stary metrapaź C... , zecerzy —starzy żołnierze z pod Verdun, potem bezimienni bohaterzy z pod Zdziechowej, czy z nad Berezyny, dyskutują nad sytuacją wojenną.

—Może tak źle nie jest?

—Pamiętajcie, jak w chwili, zdawało się, załamania Polski dywizje wielkopolskie ruszyły do kontrnatarcia z Piłsudskim na czele i przepędziliśmy wtedy Bolszewików.

—Zaraz, zaraz! A w jakim kierunku maszerowała dziś w nocy przez Poznań piechota?

—Szli za Wartę, na wschód! Nie, na zachód w stronę Zbąszynia lub Pniew nie szli!

Cholera! Głowy chyła się zbyt głęboko nad przygotowywane kolumny nowego wydania pisma. Artykuł wstępny jeszcze wlewa otuchę w zwątpione serca. Anglia i Francja biją się z Niemcami. Pewno znacznie się wielka ofensywa z linii Maginota. Nasi sojusznicy chyba nie zechcą czekać aż ci dranie niemieccy pogwałcą neutralność Holandii i Belgii. Świadomość, że od 48 godzin nie ma alarmów lotniczych narzuca znówu pesymizm. Niemcy nie atakują już Poznania, poszli w głąb Polski. Nasze miasto, jak owoc dojrzały wpadnie do podstawionego worka.

Redakcję odwiedzają członkowie rady nadzorczej pisma. Chwila pożegnania, jadą do Warszawy. Rozstanie tak samo trudne, jak kilka dni temu z jadącym na front dyrektorem wydawnictwa Hilarym G... . Lata wspólnego szamotania się o wydobycie najstarszej polskiej placówki prasowej w Wielkopolsce z ciężkiej sytuacji materialnej, oczekiwanie się renesansu poczytności pisma i kapitulacja wobec grozy wojny.

Z członkami rady nadzorczej wyjeżdżają dwaj bardziej politycznie eksponowani redaktorzy. Ja zostaje. Rozsądek tłumaczy, że tam poza frontem jeszcze można się przydać w walce z Niemcami, że tu czekają tylko polityczne represje z możliwościami najtragiczniejszymi. Nocna decyzja spaleni papierów była właściwie już postanowieniem wyjazd. Tak! Ale w czasie tej zamarłej w księżycowym bezruchu nocy ulice były głuche, domy podobne do cmentarzy kalifów — niby mieszkanki, a jednak groby puste, martwe. Ostatnia nic z żyjącym światem, jakby została zerwana wraz z autobusem wwożącym mych kolegów i wraz z cwajającym za Wartą patrolu ulańskim.

Wtedy nie trudno było o decyzję opuszczenia miasta. Rano one jednak ożyło, ożyło najserdeczniejszym bólem człowieka w nieszczęściu. Ci czepiający się rękawy przechodnie, ich wzrok jakby ucieziony, że może jeszcze tak źle nie jest, skoro zostali dziennikarze i wydają gazetę. A pracownicy drukarni, a koledzy w redakcji, z których wielu nie nie grozi, ale którzy też czują strach przed nawalnicą nieznanego, jaka wali od granicy zachodniej.

Narazie idzie przygotowywanie numeru na jutro, przygotowywanie wypłaty zaliczek pracownikom, aby w kasie nic nie zostało. Już jednak palimy archiwum redakcji. Mały wypad na miasto. W gmachu komendy policji rezyduje Celichowski i werbuje straż obywatelską. U Józwiaka w kawiarni przy ulicy Fredry jeszcze ruch. Grupa poznańskich intelektualistów dyskutuje co robić. Wojciech Bak, Zbigniew Jordan, Konstanty Troczyński i inni chcą gwałtem do straży obywatelskiej, aby coś zrobić. Chcą też szukać znanego profesora X... , który ponoc organizuje kadre byłych wojskowych, aby partyzantką bić się z Niemcami. Też znak szczególny tej wojny; w czwartym dniu działań wojennych, szybkich i totalnych, nam pozostawała tylko myśl o partyzantce. Proponuje, aby wie-

czorem, jeżeli się zdecydują, przyszedli do redakcji. Będą nowe wiadomości, ewentualnie wyjeździemy razem ciężarowym samochodem ku Warszawie.

Jakoś zaczynam oswajać się z myślą, że jednak trzeba to wszystko opuścić. Na ulicy Fredry pakuja samochód ewakuacyjny komendy LOPP. Na ulicach znówu pełno ludzi, jakby im raźniej było kupą a nie w samotności mieszkań. W redakcji wiadomości, że o świcie saperzy wysadzą w powietrze mosty i elektrownię, że na ulicy Solnej oficerowie rezerwy organizują wymarsz reszty ludzi zdolnych do noszenia broni, że przybyli z pod Gniezna samochodami wyżsi oficerowie dla załatwienia spraw związanych z ewakuacją referatu informacyjnego.

Wiadomo teraz, iż będziemy mieli front na linii kanału Warta —Gopło z parciem na północy o umocnienia Bydgoszczy. Tam są fortyfikacje, dużo wody i tam załamie się niemiecka ofensywa. Jest też wiadomo, że samochód redakcyjny został na mieście — mimo papierów wojskowych — zaanektowany przez jakichś cywilów, którzy steroryzowali szofera rewolwerami i kazali się wieść do Warszawy. Trudno! Wyjdziemy wobec tego z miasta pieszo.

Do redakcji zachodzi recenzent teatralny, serdeczny przyjaciel Jerzy K... . Chciał jechać samochodem, pieszo nie pójdzie. Zostanie, aby oddawać Niemcom, w zastępstwie swego dyrektora, Muzeum Wielkopolskie. Jeszcze jedno smutne pożegnanie! Przychodzą umówieni poprzednio koledzy —paczka gotowa do wymarszu. Nie ma pożegnania z tymi, którzy tu będą musieli zostać —zwłaszcza z kolegą T... . On sam jeden będzie wydawał "Dziennik" aż do wejścia Niemców. Wraz z P... będą ostatnimi seniorami poznańskiego dziennikarstwa, którzy najdłużej wytrwają na swych placówkach.

Ostatni rzut oka po ścianach. Tomy kompletów pisma od 1859 r. (Niemcy wywloką je wszystkie do Archiwów Gestapo w Berlinie.) Żadna redakcja "Dziennika" nie przetrwała takiego exodusu; tych starych murów nikt nie rzucił tak nagle i bezwzględnie.

W przeciwieństwie do nocy uprzedniej jest dziś rójno na ulicach. Dorożki konne, wozy, wózki ręczne, ludzie z tobołkami. Nerwy miasta pękły. Gorycz zbiorowości ustąpiła miejsca instynktowi stada —ratuj się kto może. Wędrujemy na Solną do koszar artylerii. Z nikim, choć ludno, dogadać się nie można. Widzimy tylko, że formują się jakieś szeregi, że dowodzą jacyś oficerowie rezerwy, że jest zapal i nadzieja walki. Nie wiemy gdzie i kto mógłby nas wcielić. Postanawiamy iść sami.

Wozy, wózki, toboły ciągną ku Warcie. Przechodzimy mostem ku gazowni —jest obstawiony saperami; potem mostem Chrobrego, potem ciemna sylweta Katedry. Zdejmujemy czapki przy kaplicy Królów. Most na Cybinie. Płatanina uliczek Śródki. Kościół św. Jana. Kąty, w których zaczynała się nasza państwowość. Kąty opuszczane w poplochu. Nawet uczuć tu zebrać spokojnie nie można.

Wreszcie prosta szosa ku Warszawie, prowadząca jakby ciemnym tunelem poprzez łuny palonych z lewej i prawej strony stodoł, śpichrzy i stogów. Zwalniamy nareszcie kroku, wydostawszy się ze ścisłości ludzi i pojazdów. Z prawej strony sunie sznur ciężkich wozów taborowych. Przyspagniają nas na jakąś hełę, pełną owsa. Bodaj by to raczej była benzyna dla tanków i samochodów pancernych. Woźnica opowiada o spraniu Niemców przez brygadę Abrahama. Dziwi się odwrotowi.

Łuny, łuny. Turkot wozów. Gdzieś placz dzieci. Skuleni na workach, bezsilni, już bezimienni w masie uchodźców, pozwolimy się wieść ku dalszym aktom wielkiego dramatu. Na górze pod Swarzędem patrzymy na ciemną w morzu odblasków pożarów plamę naszego Poznania. Kiedyż znówu będziemy wędrować jego ulicami?

JÓZEF WINIEWICZ

Jeden z Warszawy

B.D.I.C



Zamek królewski przed zniszczeniem

Wydawało się, że życie raczej go oszczędza. Zdrowy, dobrze zbudowany nie służył w wojsku. Nadkontyngent. Narty, "A.Z.S."—to była jego męska zaprawa. Przyjemna i dużo łagodniejsza, niż podchorążówka.

A potem wojna i mobilizacja. Właściwie już wtedy Staś nie czuł się dobrze. Mundury kolegów, ogólny zapał, a on co? Złożył podanie o przyjęcie na ochotnika i czekał. A życie nie czekało i pędziło oszalałymi skokami. Pamiętacie przecież wojnę i tempo pierwszych jej dni. O, potem umiały się one wleć powoli. Wleć się żółtym krokiem i liczyć już nie godzinami, nie minutami i sekundami nawet, ale ilością spadających bomb.

Ileż gwizdów bomb można rozróżnić w jedną sekundę? Nie wiecie? Ile gwizdów bomb można naliczyć w godzinę? A w szereg godzin, a w szereg dni? Nie wiecie? Nie zabawialiście się licząc bez przerwy, jeden po drugim, jeden po drugim gwizd i wybuch, gwizd i wybuch, gwizd i wybuch, i tak nie przez pół nocy, nie przez całą noc, ale przez noc i dzień w piwnicy, dzień tak samo ciemny jak noc, nie różniący się od niej żadną ulgą. Noc, dzień, noc, dzień, i jeszcze jedna noc i dzień. Próbowaliście?

Nie. Staś próbował. Ale o tym później. Najpierw była wojna. Mobilizacja pierwszych dni, i nalożyła walka powietrzna. Pamiętacie komunikat: "Siedemdziesiąt samolotów nieprzyjacielskich strąconych!" I odpreżenie nocy, ciemnej nocy, przy której black-out londyński wydaje się fraszka. To było jeszcze wszystko normalne. Wydawało się normalne, mieściło się w pojęciach wojny. Tak mogła wyglądać wojna; tak mogliśmy przypuszczać, że będzie musiała wyglądać wojna. Bombardowanie, pożary, uciekinierzy, żołnierze-rozbitki szukający swoich oddziałów, wymarsz mężczyzn.

Dlaczego Staś nie wymaszerował? Obiecano mu przydział. Były przecież jeszcze jakieś dowództwa, P.K.U., komenda placu. Staś czuł się zorganizowany. Złożył podanie do M.S.Wojsk. i czekał. A potem, potem—była ogłoszona obrona Warszawy.

I jeszcze nie tu się zaczęło, to nieuniknione. Jeszcze można było ze zbławoną miną prowadzić samochód ciężarowy. Samochód ko-

mitetu Obywatelskiego Obrony Warszawy. Prowadzić w jedną stronę samochód załadowany—na wysuniętej pozycji linii obrony—pełen chlebów i kiełbas, potem tylko chlebów, potem tylko kartofli, a potem już tylko pusty, ale, jak zwykle z powrotem pełny. Pełny rannych.

Odwoziło się ich do szpitali. Bomby padały i robiły wyrwy w jezdnii. Trzeba było te wyrwy, te doły omijać. Trzeba było szukać ulic, gdzie nie było pożarów, no i trzeba było mieć szczęście. Szczęście, aby nie zostać zabitym. Kawalek, odłamek pocisku i już. I już było by po uśmiechu. Staś miał szczęście, zbławonany uśmiech nie schodził mu z twarzy. "Awantura," powtarzał sobie.

"Awantura." — Nawet wtedy, kiedy nauczony doświadczeniem nie pytał się czy jest miejsce w szpitalu, nie jeździł od jednego do drugiego w poszukiwaniu tych miejsc, ale wprost składał rannych u bram szpitala, a sanitariusze musieli się nimi zająć. Staś na oko obliczał: "Czterdziestu rannych szpital Pilsudskiego, trzydziestu Ujazdowski, trzydziestu Maltański." I znów od początku: "Czterdziestu Pilsudskiego, trzydziestu Ujazdowski." Czasami ranni na samochodzie zmarli. "Ma szczęście"—cynicznie myślał Staś o szpitalu.

Tak było od wczesnego ranka do późnego wieczora. Po nocy nie sposób było prowadzić samochodu. Na noc wracało się do domu. Dom

—to kolonia Staszica mało bombardowana, to luksusowa willa, to stara matka, siostra chora, ze złamaną nogą w gipsie i mały, roczny, siostrzeniec. Reszta rodziny wyszła na prawdziwą wojnę. Poza Warszawę. Tu w stolicy była bohaterska obrona Warszawy.

NA CZYM POLEGAŁA OBRONA? Nie było już samolotów i bombowce nieprzyjacielskie bezkarnie niszczyły miasto. Zaczynało się to punktualnie o szóstej rano i kończyło o szóstej wieczorem. Dwaście godzin bombardowania. Pod wieczór zaczynała grać artyleria i waliła przez całą noc.

Na czymżeż polegała obrona? Na wysuniętych pozycjach artyleryjskich, na okopach z ustawionymi karabinami maszynowymi? Na zenitówkach ustawionych na dachach wysokich domów? Na paleniu czołgów nieprzyjacielskich, które potrafiły przedrzeć się przez lipie obrony? Czołgi, wstrzymane na barykadach, oblewane naftą i palono. Robili to cywile, często kobiety. Barykady rozwalone bombami i strzałami armat—ustawiano od nowa. Barykady z przewracanych wozów tramwajowych, z wydartych chodnikom płyt asfaltowych, z cegieł podawanych z rąk do rąk na przestrzeni kilometra. Na to szła energia, na to schodził czas. Ci, co padli przy pracy zastępowani byli przez inne ręce, przez inną wolę wytrwania. Skwery i ogródki zamieniły się w cmentarze. Kopano wielkie doły, wspólne mogiły. Nie było czasu na indywidualizm. Tylko rodziny chowały oddzielnie swoich, ale kto miał czas zawiadamiać rodzinę.

Nie było czasu reperować przewodów elektrycznych. Warszawa oślepiła. Nie było komu reperować rur wodociągowych. Nie było czasu gasić pożarów. Warszawa paliła się. Ludzie nie zmywali sadzy z twarzy. Ludzie pili oszczędnie wodę przynieszoną z dalekich studni ulicznych. Ludzie pili wodę, gasili głód, gasili pragnienie tych gorących od słońca, pięknych dni wrzesniowych. Tych gorących od pożarów, gwiazdami błyszczących nocy. Wreszcie gwiazdy przestały błyszczeć w świetle nieustających fun.

Na czym polegała obrona Warszawy? Na wytrwaniu. Na sile ludzi co nie jedli, nie pili, nie spali. Bez przerwy, bez wytchnienia narażeni byli na niebezpieczeństwo. Nie było odwołanych alarmów. Syreny przestały zawodzić. Zawły i zamilkły. Radio przestało ostrzegać, że "nadchodzi." Nieprzyjaciel nadszedł i nie odchodził. Warszawa czuwała, by jej nie zaskoczył we śnie. Gdzież było spać?

Staś wracał na noc do domu. Powrót Stasia do domu—to chleb, a potem już tylko mięso. Mięso wycięte z trupa zabitego konia. Jakże ohydnie smakował pierwszy raz. Nie mógł go jeść, ciągle mu się zdawało, że ma ręce uwalane krwią konia. Ciągłe mu się zdawało, że po mięsie chodzą muchy odegnane z nad padliny. To brzęczenie much słychać ciągle, że czasami nie słychać huku bomb.

Kolonia Staszica mało była bombardowana, ale przyszedł wieczór, że Staś po powrocie do domu zastał dom w ruinie, a rodzinę na ulicy. Bomba była z rodzaju kruszących, pożaru nie było, ale nie było gdzie nocować. Rozbitki zdecydowali się na dom znajomych

na ulicy Marszałkowskiej.

Od tego dnia zaczęła się wędrówka. Od tej nocy zaczęła się przemiana Stasia. Ta noc... Staś niósł siostrę i mięso wydarte z uda konia. O! nie zostawia się tak łatwo zdobytego jedzenia. Matkaniosła chłopca. Dzieciak patrzył wytrzeszczonymi oczami na świat i nic nie mówił. Jakże okropne bywa milczenie dziecka—gorsze, niż płacz.

Ta noc—dała początek. Ruina domu, schronienie u znajomych. Ledwo się jakoś pokładło, poukładało w korytarzu, gdzie nie było okien zagrażających odłamkami, w korytarzu, na gołej podłodze. Ledwo się zdrzemnęło, pomimo huków i wstrząsów powietrza—przyszedł huk i wstrząs niekłamliwie bliski i zaraz potem krzyk. Jeszcze chciało się wierzyć, że to może tylko obok, ale krzyk trwał, zbliżył się, wdarł przez drzwi i wyrzucił z płonącego domu na ulicę. I znów ktoś niósł siostrę i mięso, a matka dziecko. Czy wiecie jak cięży ktoś, kogo trzeba dźwigać, wtedy gdy strach każe biec?—Dźwigać z Marszałkowskiej na Okólnik. Tam byli znajomi, tam był znówu jakiś dom.

Jakże daleka droga jest przez ulice grożące dołami, lejami, belkami, murami domów wysypianymi na jezdnię, odłamkami pocisków i samymi pociskami? Jakże mnożą się kilometry i nie kończy się droga.

Noc jasna łunami, sylwetki ludzi ostro rysują się na tle pożarów. Ludzie idą ulicami. Pochody ludzi z tłumokami, z walizkami, z dziećmi. Pochody ludzi. Dzielnice całe wyruszyły szukać schronienia do innych dzielnic.

Marszałkowska szła na Pragę, Grochów uciekał na Okęcie, Okęcie uciekało na Wołę, Wola paliła się. Nikt nie wiedział gdzie iść. Ludzie zmywali się i szli stadami. Czasem spotykały się stada w pół drogi, naradzano się wtedy i obierano trzeci kierunek.

Czy kto słyszał słowo o poddaniu się? Trzy tygodnie bombardowania Warszawy. Ileż padło słów? Przekleństwa i modlitwy, złożeń i nadziei. Czy kto słyszał słowo o tym, że już dłużej nie można? Ze już nie wytrzyma? Warszawa nie znała takiego słowa.

Ta noc, ta wędrówka, to już nie obrona Warszawy. To już nie bohaterstwo i zbławonany uśmiech na twarzy Stasia—jakiż ze mnie zuch! To już tylko strach i zwierzęcy instynkt ukrycia się i przetrwania. Ten instynkt dał się dojścia i dodzwignania aż na Okólnik. Tam, w sieni wielkiego domu, razem z lokatorami, razem z uciekinierami z pałacej się ulicy Kopernika, znówu przetrwali część nocy.

To pierwsza z ostatnich trzech nocy, kiedy samoloty niemieckie nie opuściły Warszawy o szóstej. To była pierwsza z tych nocy, kiedy Warszawa była bombardowana przez trzy doby bez przestanku, bez przestanku ostrzeliwana przez artylerię. Ludzie siedzieli na schodach i słuchali gwizdu bomb. Słuchali wycia pocisków armatnich, słuchali trzasku palących się obok domów.

Pożar cyrku wpyłoszył ich z kryjówek. Bali się zostać żywcem spaleni. Postanowili iść nad Wisłę. W rzekę można wejść, to nie grozi spalaniem.

Staś z rodziną nie poszedł. Spotkał znajomego. Komendanta

schronu w piwnicach pałacu Staszica. Komendant szedł do szpitala Czerwonego Krzyża na Smolną, miał zaraz wrócić i zabrać Stasia z rodziną do schronu. Staś czekał godzinę. Czekał dwie. Pożar wzmógł się. Groziło uduszenie dymem. Staś, matka i siostra zdjęli wierzehnie ubranie, okrecili nim głowy, by włosy nie zajęły się od ognia. Staś znów wziął na ręce siostrę. Matka dziecko. Staś szedł pierwszy.

Krótki kawalek Ordynackiej od Okólnika do Kopernika palił się po obydwu stronach. Trzeba było rzucić się w ten ogień, i—przejść. Dym palił oczy, rzęsy i brywi osmałiły się od żaru.

Przejście przez ogień, to nie najgorsza rzecz. Najgorsze to oczekiwanie. Oczekiwanie pod arkadami pałacu Staszica na przyście komendanta i otwarcie schronu. W nocy na Krakowskim Przedmieściu od pożarów było jasno jak w dzień. Zresztą, może był to już dzień. Dzień nocy jednakowo straszny. Jednakowo w dzień i w nocy nad miastem stały dymy, sadze unosiły się w powietrzu. Słońce na niebo wschodziło małe i czerwienioła przez zasłonę dymną jak księżyc. Słońce nie dawało dnia, noc nie kryła ciemnością. Czarny dym i czerwony ogień zarówno w nocy, jak w dzień.

Tej to nocy, czy też już za dnia, palił się Uniwersytet. Niedawno przeniósł się tam szpital Ujazdowski ze zbombardowanego Ujazdowa. Jeszcze wczoraj Staś odwoził tu rannych. Koło stu pięćdziesięciu rannych do szpitala w Uniwersytecie. Teraz i ten gmach płonął. Z palącego się Uniwersytetu wynoszono rannych do ogrodu. Ranni wyczołgali się dalej. Pełzi Krakowskim Przedmieściem. Pełzi jak robactwo. Obandażowani, okrwawieni, wolnym ruchem posuwali się w stronę pałacu Staszica. Co chwila grzmot wybuchu wstrząsał powietrzem. Oszalałe konie bez jeźdźców pędziły po jezdni. Staś patrzył z przerażeniem: "Wpadnie koń na tego rannego, czy nie wpadnie?"

To była pierwsza z tych trzech ostatnich nocy, to był pierwszy dzień z tych trzech ostatnich Obrony Warszawy. To był dzień, kiedy radio londyńskie nadawało, że cała Anglia modli się za Warszawę. Kiedy królowa angielska przemawiała przez radio do kobiet Polek. Dzień robił się ciemny, blask słońca nie zmógł blasku pożaru. Wreszcie przyszedł komendant i wpuścił Stasia z rodziną do schronu. Za nimi wczolgali się ranni. Piwnice były obszerne, okna zaszypane piaskiem. Zdawało się, że weszło się do innego świata, huk stał się daleki i obcy. Obszerne schron zapenił się prędko. Paliły się świece.

Jak długo trwa wypalenie się świecy? Przeciętnej świecy, nie żadnej lojówki? Pięć, sześć godzin? Czy więcej? Jak długo trwa już ciemność? Pięć sześć godzin? Czy więcej? Kto ma zegarek? Która godzina? Kto wyjdzie na powietrze? Nie można wyjść, drzwi zamknięte. Dlaczego zamknięte? Bo by się nawaliło tylu ludzi, że wszyscy by się tu podusili. Ktoś musi wyjść. Niech idzie w kąt. Albo—pod siebie. Tak się siedzi drugą dobę. Nie je się. Nie pije. Zalatwia w kącie, i—co za organizacja, trupy też przenosi się w kąt. Ranny jęczał godziny całe. Jęczał, jęczał, wreszcie jęć ucił. Staś potrząsa rannym, potem go bierze za nogi i odciąga w kąt. Jakże ciężki jest trup. O ile cięższy od żywej siostry. Jak by ciążyła siostra, gdyby umarła? Co by było z matką? Co by było, gdybyśmy wszyscy umarli? Niech byśmy umarli. Niech by wreszcie był jakiś koniec, niech by już było nie wiem co, tylko żeby się skończyła ta męka. Wsłuchiwanie w wycie pocisków i gwizd bomb. Niech by już nie wiem co, byle by koniec, byle by ranny przestał jęczeć!

Ranny przestał. Czy ktoś powiedział o poddaniu się Warszawy? —Nikt nie słyszał tego słowa. Czy ktoś o tym pomyślał? —Nikt nie dopuścił takiej myśli do siebie. Warszawa umierała, ale Warszawa nie chciała się poddać. Staś umierał. Umierał w nim chłopak, rozdził się nowy człowiek. Zbławonany uśmiech ustąpił z twarzy.

HALINA GASZYŃSKA

Nakładem "Książnicy Polskiej," 242, Hope Street, Glasgow
świeżo ukazał się
pełny przedruk zbioru wierszy powstałych po kampanii wrzesniowej
i wydanych konspiracyjnie w Kraju
p.t.

ANTOLOGIA POEZJI WSPÓŁCZESNEJ

Przedmowa Tymotea Terleckiego

Cena 2sh.

Czysty dochód na Fundusz Pomocy dla Polaków w Rosji

Tygodnik, zawierający streszczenia książek i artykułów drukowanych w wydawnictwach brytyjskich, amerykańskich i innych

CO SŁYCHAĆ

Abonament: miesięcznie 2/-, kwartalnie 6/-. Adres: 43, Charlotte Square, Edinburgh 2.
Zadajcie we wszystkich kioskach z wydawnictwami polskimi.

W numerze 631 "Dziennika Polskiego" z 30 lipca br. ukazał się artykuł podpisany M.K. p.t. "Czarna dieta," podtytuł— "Czy nie wolno nam dostrzegać żadnych błysków światła w tragicznym życiu Kraju." Artykuł ten podejmuje polemikę obszernie, i co trzeba przyznać, dość spokojnie z felietonem moim z numeru 29 "P.W." Ale właśnie ten pozorny spokój felietonu jest jedną z głównych przyczyn mojej odpowiedzi. Mimo dużego wstrętu do "polemikowania" odpowiadam w czuciu obowiązku obywatelskiego, odpowiadam dość późno dla umiarkowanego podkreślenia istotnego i zasadniczego znaczenia sprawy, którą w formie polemicznej poruszył p. M.K. Zagadnienie to kwalifikuje się do jednej w swoim rodzaju rozmowy bez-blackoutowej, to jest rozmowy bez obstrukcji.

Pisząc w numerze 29 "P.W." o obojętności emigracyjnej, stwierdzam koniecznie solidarność duchową z Krajem. Podkreśliłem przy tym nieświadome niebezpieczeństwo pewnych reportaży, które ukazywały się w kilku pismach polskich. Mówiłem o konieczności utrzymania dystansu pomiędzy Krajem a emigracją, która pod wpływem tego typu reportaży z "błyskami światła" usprawiedliwiła by do reszty zagłuszenie własnych sumień i rozgrzeszenie tych—może niezbyt licznych—sposród nas, którzy odwracają oczy od czarnej rzeczywistości Polski. Mówiąc o solidarności duchowej z Krajem wypowiedziałem mi. takie zdanie:

"Nam tańczyć wolno. Zakaz niedgdyś wydany cofnięto. Ale mi tańczyć nie powinniśmy. To powinna być nasza demonstracja narodo-wa, to powinien być proces duchowy. Powinniśmy apelować, gdzie należy, aby znikły oficjalne i półoficjalne smokingo-cocktailowe "party," a na-d wszystko "herbatki tańczące z dobrze zaopatrzoną bufetem." Teraz, gdy codziennie z Kraju przychodzą nowe wiadomości o masowych obławach i egzekucjach, mamy nie tylko prawo, ale i obowiązek stawiania pytań i żądań odpowiedzi."

Przypatrzyliśmy się, jak swój obowiązek odpowiedzi zrozumiał p. M.K.:

"P. Budzyński jest zdania, że Polak w Anglii może zachować jaką taką formę moralną tylko wtedy, jeżeli będzie karmiony wyłącznie najczarniejszą rzeczywistością Kraju bez jakichkolwiek jaśniejszych dodatków. I jako przykład zębnych skutków nieprzestrzegania diety przytacza kieliszek wódki wypity z radości, że jakoś tam żyją i ogłoszenie o "herbatce z dobrze zaopatrzoną bufetem." Nieprzestrzeganie tej diety p. Budzyński zalicza również do typowo antypropagandowych zabiegów."

Ano trudno. P.M.K. w roli obrońcy herbatki sprowokował mnie, więc powiem zupełnie szczerze: uważam, że "Ognisko Polskie" w Londynie jako miejsce oficjalnych spotkań pewnej sfery Polaków-emigrantów, jako ośrodek kulturalno-towarzystki do którego bywają często zapraszani Anglicy, Francuzi, Jugosłowianie, Czesi—nie powinno organizować oficjalnie tańców ani podawać alkoholu. Taki jest uparty mój punkt widzenia, przy czym reklamowanie w prasie "dobrze zaopatrzone bufety" uważam za wybitnie niepropagandowe z wielu względów. Zapominamy, że polskie pismo londyńskie wędruje nie tylko po Londynie.

Działam w tej sprawie dość dyskretnie i ostrzegawczo. Z chwili, gdy wypaczono moją myśl, mówię bez ogródek. Zapewniam p. M.K. że nie odmówię zaproszenia na kieliszek wódki, gdyż jestem człowiekiem towarzyskim i nie przypuszczam "czystości spirytusowej," ale myślę, że p. M.K. nie będzie się spierał co do konieczności zamieszczenia w "Dzienniku Polskim" komunikatu, oznajmiającego, że panowie M.K. i W.B. będą dziś popijali w "dobrze zaopatrzone bufecie." To nie znaczy, że wypowiadam się za cichym pijaństwem, przeciwnie—co mocno p. M.K. dziwi—głoszę za ograniczeniem alkoholu przez emigrację cywilną i żołnierzy z trzech zasadniczych względów:

1/ W Kraju Niemcy celowo usiłują rozpijać społeczeństwo polskie, a propaganda pijaństwa jest wyjątkowo "pomysłowa" i silna,

2/ Alkohol na terenie W. Brytanii jest obecnie bardzo drogi; za cenę flaszki wódki można wystąpić 2 paczki przez Czerwony Krzyż lub pomóc wydatnie Polakom w Rosji,

3/ W stanie podchmielonym Polak jest bardziej skory do "wy-

stępów" antypropagandowych na terenie tutejszym /pomijam kwestie zdrowotne/.

Uważam, że "kwestia spirytusowa" jest wyczerpana.

Pan M.K. pisze dalej:

"A więc przede wszystkim trzeba wyraźnie stwierdzić, że nie spotkałimy w naszej prasie enuncjacji, któreby rzeczywistość Kraju przedstawiały w różowym świetle. Może więc tu być mowa jedynie o drobnych błyskach..."

Tak jest, błyski te znalazłem i uważałem je za niebezpieczne nie ze względu na rzeczywisty fakt ich istnienia, ale ze względu na pewien typ reakcji niektórych Polaków naszej emigracji, których jeszcze nie dość dobrze poznali autorzy relacji, niedawno przybyli z Kraju. Zresztą w ostatnim swoim raporcie o Warszawie napisał Jan Żart całkiem już wyraźnie:

"Postawiłem sobie za cel pisać o Kraju "na zimno." Kochany czytelniku-emigrancie. Zechciej zrozumieć, że pod spokojną maską zdań tkwi bezmiar ludzkiego nieszczęścia, kotłuje się gwałb niesłychana wszystkich najpierwotniejszych instynktów, wywołanych przez jakies szatańskie moce..."

W podejściu do spraw krajowej emigracji ma wiele zrozumiałego misticzmu i idealizacji. Pomijając literackość niektórych sądów należy jednak stwierdzić, że ta postawa uczuciowa ma swój odpowiednik w polskiej rzeczywistości.

Wydaje mi się, że pan M.K. jest dość daleki od misticzmu i idealizacji, gdy woła:

"Czarna dieta zalecana przez pana Budzyńskiego może doprowadzić do utraty formy i do niemożności spełnienia obowiązków, jakie na nas ciąży"

Dziwna rzecz. Byłem pewny, że "utrata formy" przychodzi właśnie jako skutek zbyt częstych "cocktail-party." Jestem prawdziwie przerażony, że emigracja

Bez black-outu

B.D.I.C

przeze mnie właśnie nie spełni cięższych na niej w tygodniu obowiązków... towarzyskich. Straszliwy obraz, zresztą daleko odbiegający od moich zasadniczych założeń, snuje przerażony widmem czekającej go "diety" pan M.K.

"Wyobraźmy sobie bowiem, że Polacy w Anglii z życia swego robia nieustannie "Dziady." Ze koszary, stacje lotnicze, biura i mieszkania pokryte są kirem, że mówi się w nich tylko szeptem i jękiem, że przywdziewa się włosienicę, a żywi chlebem i wodą, że spotkanego Polaka i cudzoziemca wita się ponurym spojrzeniem i słowem: "Memento mori."

Ustęp ten dyskwalifikuje jako nierzeczowy. Ale jest jeden pozytyw: autor udowodnił mi tylko swą nadmiernie przerysowaną reakcją, że strzał mój był celny, a przystoiwowe nożyce... aż jękły.

Uważam, że Polacy w Anglii robią nie tyle "Dziady," ile "Nieboską Komedię." Chleba i wody nie zauważyłem, natomiast widziałem dużo wódki na parterze i na piętrze. Widziałem także kilka pięknych włosienic, kupionych na Picadilly, demonstrowanych na niektórych zebraniach towarzyskich w Londynie, słyszałem Polaków mówiących szeptem... o funtach, a z jękiem... o cenach w "Hungarii" lub u "Pruniera."

Stacje lotnicze mają pierwsze przed wszystkim prawo do codziennych herbatek z dobrze zaopatrzoną, bez przerwy otwartym bufetem, bo tam jest front, panie kolego M.K., bo tam często piją "ostatniego" w życiu. Za nie-takt uważam wprowadzenie do tej dyskusji stacji lotniczych, ale skoro Pan to zrobił jestem zmuszony mówić bez ogródek. Przypominam, że największa suma datków na pomoc dla Polaków w Rosji przychodzi właśnie z dywizjonów lotniczych z notatką: "zamiast drinka."

Malując przyszłość czarnych

obostrzeń, jakich rzekomo domagam się dla nieszczęsnych Polaków naszej emigracji, pisze pan M.K.:

"Przed wszystkim zaś wąpimy bardzo, abyśmy w takiej atmosferze mogli spełnić zadania propagandowo-politycznej natury, jakie nakłada na nas fakt przebywania na ziemi brytyjskiej. Jednym z warunków spełnienia tych zadań jest znalezienie wspólnego języka ze środowiskiem, w jakim żyjemy. W tym zaś kraju ludzi silnych nerwów, ludzi wiary w przyszłość, ludzi, których nie wytrącają z formy największe nawet dopustы Boże, zjawiskiem obcym i niezrozumiałym byłoby Polacy, odprawiający bezustannie "Dziady."

Co do zadań propagandowych pozwolę sobie zwrócić uwagę autora na mało znaczący, ale pewny fakt, że od kilku lat jestem jednym ze skromnych wykonawców zadań propagandowych i niejako "służbowo" odwołam pogodną pracę. Jednak muszę wyznać zupełnie szczerze, że zarówno mnie jak i moich współkolegów ten typ pracy nie oddala od bardzo głębokiego związku z Krajem, z drugiej strony bardzo ograniczona porcja rozrywek nie wytrąca nas z równowagi duchowej i wykonywania zadań nie paraliżuje. Czy uwierzy Pan, że uchwalił się do tej pory w zespole jeden taki oryginalny "żołądkiwiec," który wódki z zasady nie pija, tańców nie "uskutecznia," a pracuje z równą pogodą ducha, silny nerwowo i wierzący w przyszłość?

Znalezienie wspólnego języka z Brytyjczykami. Zgoda. To konieczne. Byle by to nie był pretekst dla "propagandowców" do znalezienia wspólnego... baru. Uznaję i rozumiem dwie konieczne potrzeby: rozrywek dla pierwszej linii frontu, oraz potrzebę reprezentacyjną, oficjalną w tym kraju, gdzie na lunchu omówić można więcej spraw pożytecznych niż na niejednej konferencji.

Ale na tym koniec. Opowiedział Pan historię o tej starej Angielce, która straciwszy syna na wojnie nazajutrz po otrzymaniu wieści żałobnej nie odwołała przyjęcia dla marynarzy i tańczyła z nimi przed ich wyjściem w morze. Przyczna Pan, że poświęcenie tej osoby nie ma nic wspólnego z poruszoną sprawą. Zacytowana przez Pana historia nie usprawiedliwia w niczym niepotrzebnych party, na których tańczą jak opętani Polacy, którzy nie wychodzą w morze, tylko w karo albo w pik i którzy niczego wczoraj nie stracili z wyjątkiem chyba sumienia obywatelskiego.

Nadmierny pęd do rozrywek uważam za wynik nienormalnego stanu nerwowego niektórych ludzi. Znam takich, którzy w Polsce tańczyli tylko w karnawale, obecnie w Szkocji tańczą trzy razy w tygodniu, znam i takich, którzy w Polsce chodzili do kina raz na tydzień, teraz łażą beżmyślnie na "pictures" codziennie. Myślę, że byłoby to interesujący temat dla doskonałego pisma: "Lekarz Wojskowy."

Kończy Pan M.K. w ten sposób:

"Jesteśmy garstką aktorów na wielkiej scenie świata, biorących udział w bardzo wielkiej grze. Niezależnie od osobistych przeżyć, zawodów i ciosów, rolę naszą musimy najlepiej i do końca odegrać. Nie sprzyja zaś temu dieta, zalecana przez p. Budzyńskiego, który w polskich kulisach tej sceny chciałby koniecznie widzieć cmentarną kaplicę, przez której szczeliny nawet bladej światłości księżyca wkładać się nie wolno."

Tak to prawda. Jesteśmy garstką... Tam w Kraju zostały miliony... I trzeba żyć życiem tych milionów, przynajmniej duchowo, boć w nieskończenie lepszych warunkach. To prawda, że gra jest wielka. Dlatego Panu odpowiedziałem. Gra idzie o duszę emigracji, gra idzie o wielką stawkę. Nieważny jest "cmentarny nastrój" tak mi naiwnie, a może chytrze sugerowany, nieważna jest "blada światłość" księżyca—ważna jest maska, odważna, istotnie bezkompromisowa prawda, której nie zaciemnią płytkie polemiczne chwyty, w której jedynie tkwi siła i charakter, wielkość i prostota tych samych spraw, poruszających jednym rytmem serca tu i Tam. Nie powiem Panu nic więcej. Jedynie przy końcu tej rozmowy /nie polemiki/ wpisuję dla pamięci Pańskiej jeden fragment.

Ustęp z artykułu Antoniego Wójcickiego z numeru 30 "Polski Walczącej" p.t. "Patrzaj w serce... Kraju" /omówienie "Antologii poezji współczesnej," wydanej konspiracyjnie w Kraju, która, nawiasem mówiąc w macierzystym organie p. M.K. nie doczekała się dotąd ani słowa wzmianki/.

"Okrutne miłośni ona w swej prawdzie strofy, jak bezlitosna jest też prawda o rzeczywistości polskiej w Kraju. Odczytywanie ich raz, drugi i trzeci... i ponownie, kiedy wola słabnie i pamięć o Kraju zarasta kwiatami czy chwastami nowych przeżyć, jest może samoudręką, ale udręką konieczną i twórczą... Inny ucieka od myśli o Kraju, bo czuje swą bezsilność, bo iza natychmiast oczy mgłą zasnuwa. Jeszcze inny, ten najgorszy i najpodlejszy wygodniś, bo mu ta zmora krajowej rzeczywistości zakłóca beżmyślny dosyt, rozplanowany spokój, nowe ułożenie życia. U wszystkich teźchórzostwo w mniejszym lub większym stopniu odsuwa myśli o kraju i odgłosy z tamtych stron, teźchórzostwo wywodzące się ze słabości natury ludzkiej, nieustępliwie dążące do spokoju i szczęścia za wszelką cenę.

... Bo jesteśmy z pokolenia, które spocząć nie może, które nie zna spokoju w żadnym kraju, w żadnym zaciszu, póki nie wypełni swojego przeznaczenia... Zdobyciwajmy w codziennym wysiłku odwagę patrzenia w oczy użeczonego Kraju."

I na zakończenie wiadomość: żołnierze jednego z transportów, przybytych ostatnio z Rosji, postanowili uchwalać zbiorową wstrzymać się od wszelkich rozrywek taneczno-drinkowo-kabaretowych, chcąc w ten sposób dać wyraz solidarności duchowej z kolegami, którzy pozostali w Rosji w ciężkich, nieporównanie gorszych warunkach. Dziwaki co? "Dziady" odprawiają? Kirem objają koszary? A może oni po prostu tylko... patrzaj w serce Kraju.

WIKTOR BUDZYŃSKI

DZIAŁALNOŚĆ LOTNICTWA POLSKIEGO W WIELKIEJ BRYTANII

za czas od 11.VII—20.VIII.

Lotnictwo myśliwskie		Lotnictwo bombowe	
		Ilość wypraw:	Łączna ilość samolotów:
pewnych	26	21	267
Główne cele: Zagłębie Ruhry, kładzenie min na wodach npl., Duisburg, Hamburg, Saarbrücken, Düsseldorf, Osnabrück, Moguncja.			
Razem od czasu przybycia do Anglii do 20.VIII.1942.			
zestrzelono samolotów nieprzyjaciela:		Łączna ilość samolotów:	
pewnych	489	3254	

Pomoc dla Polaków w Rosji: £3,449

LOTNICTWO POLSKIE W ANGLII I SZKOCJI RODAKOM W ROSJI ROK 1942

"Polska Walcząca,"
W załączeniu przesyłam British Money Order R.A.17995 na sumę £1 sh.6.5 z prośbą o przekazanie do P.C.K. na pomoc Polakom w Rosji.

K o m e n d a n t
Polskiej Szkoły Pilotażu

Wielmożny Panie Redaktorze,
Przez przybyłych zdala, złożone z serca grosze na otarcie choć jednej łzy tym, na których straszną dole własnymi patrzyli oczyma—w uznaniu szlachetnej, przez "Polskę Walcząca" prowadzonej akcji—pozwalam sobie przelać.

Ogólnie złożono w dniu 2.VIII.1942 £3 sh.17 d.3

Indywidualnie:
P. Gulb. Józef, plut. podchor. £1
P. Stefan Kazimierz, sierż. £1
P. Mudr. Miecz. strzelec sh. 2
P. Rut. Kazimierz, strzelec sh.10

Składka dobrowolna po naboż. w dn. 16.8 £5

17.8. br. 8 p.a.c. na podziękowanie Bogu za szczęśliwe przybycie /wreczone przez P. Por. Malisz. Wit. i P. ogniom. Mięt. Wład./ £3

Razem £14 sh. 9 d.3

Z poważaniem
Ks.K.P.
kapelan obozu rozdzielczego

Szanowny Panie Redaktorze,
Żołnierze 1 Kompanii Warsztatowej zebrali w dniu moich imienin sumę £7, którą oddali do mojej dyspozycji.

Uznając, że potrzeby Polaków w Rosji są w obecnej chwili najpilniejszą, przekazuję za pośrednictwem Pana Redaktora wspomnianą sumę z przeznaczeniem dla Polaków w Rosji.
Dca 1 Kompanii Warsztatowej

Adam Ordega ofiaruje £3 jako nieprzyjęte honorarium za przemówienie wygłoszone w B.B.C. dnia 18-go czerwca 1942 w sprawie aresztowanych profesorów Uniwersytetu Lwowskiego.

Do Redakcji "Polski Walczącej,"
Przesyłam na Pomoc Polakom w Rosji £5 sh.10. £5 złożył porucznik L.M. z 2 P.Cz. Sh.10 bezimiennie.
Kapelan 2 P.Cz.

Przesyłam w załączeniu przekaz pocztowy na £1.
Zebrane w szatni na zabawie ułańskiej 24 p. Ułanów w dn. 15 sierpnia przez p. Etkę Jakubowiczową.
Z poważaniem
Jadwiga Jaworska
Swietliczarka 24 p. Ul.

DLA INTERNOWANYCH W MIRANDA DEL EBRO
Redakcja Tyg. "Polska Walcząca,"
Dca 1 komp. Baonu Strzel. Podh. złożył w imieniu własnym oraz podkomendnych, kwotę £3 /słownie funty trzy/ na pomoc Polakom, przebywającym w obozie internowanych w Miranda del Ebro w Hiszpanii.

Kwotę powyższą uzyskano z dobrowolnych składek, które były przeprowadzone w odz. w mcu lipcu.
Oficer Oświatowy

Zamiast prezentu w dniu imienin naszego kochanego kolegi Ludwika Bojczuka składamy £1 sh.10 na pomoc dla Polaków w Rosji.

Koleżanki i Koleżdy z "Lwowskiej Fali"

Szanowny Panie Redaktorze,
Zamiast prezentu dla żony pozostałej w Kraju w dniu Jej imienin przesyłam na pomoc dla Polaków w Rosji £5.
Z poważaniem M.L. ppłk.

Szanowna Redakcjo,
Jako miesięczne opodatkowanie oraz stały procent od wygranej w karty zebrane wśród tutejszej Polonii, przesyłam sh.18.6 z przeznaczeniem na pomoc dla Polaków w Rosji.
A.Z.

£1 na "Pomoc dla Polaków w Rosji."
Szczęść Boże!
E.P.

"ŁAŃCUCH OFIAR"
sh.5. sh.5.

Łączna suma zbiórki w dzisiejszym numerze £41.4.2 /słownie czterdzieści jeden funtów, cztery szylingi, dwa pence/ przekazał mi Polakiemu Czerwonemu Krzyżowi.
Suma powyższa za podnosi ogólną sumę zebrań a do-tychczas za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £3.449.11.8 /słownie trzy tysiące czterysta czterdzieści czterech funtów, jedenaście szylingów, osiem pensów/ 108 pensów hiszpańskich i 1 dolar kanadyjski.

Szkic sytuacyjny

TIMOSZENKO MANEWRUJE

W położeniu na wschodnim froncie nie zaszło w ciągu ubiegłego tygodnia zbyt wiele zmian. Wojska niemieckie prą ku Groz-nemu, ale tempo ich marszu ostabło; atakują pod Stalingra-dem, gdzie położenie jest nie-wątpliwie trudniejsze. Von Bock rzuca nowe rezerwy w bój i naj-widoczniej chce zdobyć Stalingrad przed pierwszym wrześniem.

Timoszenko stara się wydobyć z nastawionych sieci i dotychczas sztuka ta mu się udaje. Pisma neutralne—szwajcarskie i szwedzkie—podkreślają słusznie, że do-wództwo sowieckie unika związa-nia się w walce i że umyka usta-wicznie niemieckim ruchom okrą-żającym. Niemcy najwidoczniej dążą do osaczenia armii so-wietek, ale próby te za każdym razem się im nie udają. Tym sam-y odwrócić się decydują na froncie wschodnim, a opinia publiczna w Rzeszy liczy się już dzisiaj co raz powszechniej z drugą zimą w Rosji.

Być może, że w jakimś momen-cie niemieckich działań w Rosji przyjdzie uderzenie na Moskwę, albowiem dowództwo niemieckie chciałoby niewątpliwie zdobyć Moskwę w tym roku. Jak pójdzie to uderzenie, nie wiemy, ale wiele wskazuje na to, że mogłoby ono—po zdobyciu Stalingradu—pójść od południa ostro na północ. Taka akcja chodzi po głowie Wehr-machtowi, ale czy uda mu się roz-począć nawet to działanie w bieżącym roku—w to dzisiaj trzeba po-ważnie wątpić.

WYPAD NA DIEPPE

Narady, jakie przeprowadził Churchill w Moskwie osłonięte są tajemnicą, ale sądzić trzeba, że sprawa pomocy dla Rosji oraz ter-min powołania do życia t.zw. drugiego frontu, były tam dysku-towane. Niemieckie plotki, jakoby uderzenie na Dieppe należało uznać za bezpośredni wynik wizyty Churchilla w Moskwie trakto-wać trzeba jako wyssane z palca: akcja na Dieppe przygotowywana była napewno od dawna.

Jakie są wnioski z tego wypa-du? Przede wszystkim taki, że można wylądować na brzegu zaję-tym przez Niemców—i to w punk-cie tak ostro bronionym jak koło Dieppe—i rozpocząć akcję nawet z czołgami, jeżeli lądowanie osta-niane jest przez dostateczne ilości pościgowców i jeżeli posiada się ochronę dla transportu morskiego. Anglikom udało się udowodnić, że takie zadanie jest do wykonania.

Po wtóre okazało się, że można, posiadając osłonę "parasola" lot-niczego, załadować z powrotem od-działy i wycofać się w porządku. Wreszcie trzeci wniosek: Rzesza nie posiada na Zachodzie takich sił lotniczych, ażeby mogła pokusić się o sparaliżowanie większych uderzeń RAF'u, ale nie mniej po-siada wcale poważne ilości samolo-tów. Wypad brytyjski na Dieppe dokonał niejako "wyzabienia" niemieckich pościgowców, które zjawily się nad Dieppe w sile ja-kichś 400 maszyn. Spore ilości

niemieckich bombowców nurkują-cych świadczą o tym, że pogoto-wie niemieckie na brzegu Francji /wzgl. Belgii i Holandii, albowiem przypuszczalnie nieprzyjaciel się-gnął do swoich zasobów w tych obu krajach/ nie jest najmniejsze.

Lord Louis Mountbatten, który kieruje t.zw. Combined Operations przedstawi napewno wnioski brytyjskiemu gabinetowi wojennemu. Z nauki pod Dieppe można będzie dopiero stworzyć zarys planu in-wazji.

Już dzisiaj jednak można po-wiedzieć, że przy inwazji będzie: trzeba posiadać wszędzie dosko-nały "parasol" lotniczy,

trzeba liczyć się ze znacznymi stratami zarówno w ludziach, jak sprzęcie w pierwszym starciu,

trzeba lądować wojska spado-chronowe na tyłach wroga.

Napewno wniosków takich bę-dzie więcej, a sztab Combined Operations opracuje je wyczerpu-jąco. W wypadzie odznaczył się Kanadyjczyk, któryzy odegrał wielką rolę, Amerykanie, którzy działają w zespolech t.zw. Rangers, przeszli chrzest ognioy. Wielką rolę odegrało lotnictwo polskie. Wbrew temu, co opowiadało radio niemieckie, że była to próba in-wazji, wypad pod Dieppe był stu-dium wojskowym ograniczonym w czasie i przestrzeni. Okazuje się także z pogłosów niemieckich, że do Paryża przybyły liczne rezerwy

wojska niemieckiego i że nigdy nie widzieliśmy w stolicy Francji tyłu niemieckich mundurów. Do-wodzi to, iż poprzednie zapewnie-nia niemieckie że nie trzeba wzmacniać garnizonów we Fran-cji/ jakoś nie bardzo wytrzymują krytykę: dzisiaj radio Rzeszy gło-si, że jednak wzmocniono po 15-tu miesiącach garnizony niemieckie we Francji /a więc od czasu ataku niemieckiego na Rosję/.

AMERYKANIE DZIAŁAJĄ

Akcja amerykańska na wyspach Salomona okazała się skuteczną i oto trzy wyspy archipelagu zna-lazy się w rękach amerykańskich. Obecnie piechota morska USA czy-li t.zw. marines zawitała na wyspę Mankin w archipelagu wysp Gilberta. Dowodzi to, że marynarka wojenna Stanów krząta się energicznie po Oceanie Spokoj-nym.

Amerykanie uznali, że trzeba skorzystać z przerwy w działaniach japońskich—pochodzi ona stąd, iż Japonia połknęła więcej, niż po-trafi od razu strawić oraz stąd, iż być może przygotowuje się do skoku w innym kierunku /Rosja?—i że należy dobrać się Japończykom do skóry. Zarówno w tym na wyspy Salomona jak na archipelag Gilberta są dobrze pomyślanymi działaniami. Odsuwają one groźbę inwazji od Australii i sprawiają, że bazy amerykańskie będą mogły

nareszcie działać w głąb Oceanu Spokojnego.

Należy oczekiwać podobnej akcji w stosunku do Aleutów. Wyspy te zyskują na znaczeniu, albowiem z nich to można przepro-wadzać działania zaczepne na szla-ku pomocy idącym z USA do Rosji.

ROOSEVELT GROZI

Na jednej ze swoich konferencyj prasowych Roosevelt zapowiedział "straszliwą odpłatę" dla zbro-dniarzy, którzy znęcają się nad ludnością krajów okupowanych. Tego rodzaju zapowiedź dowodzi, że w Stanach Zjd. ugruntowuje się przekonanie, iż ukaranie win-nych zbrodni popełnianych w kra-jach pod jarzmem niemieckim /czy japońskim/, musi być jednym z naczelnych zadań państw sojus-zniczych po wojnie. Jasne wypo-wiedzenie tej prawdy przez sterni-ka nawy Stanów Zjd. przyczyni się napewno do umocnienia tej zasa-dy, która powoli zdobyła sobie uznanie w krajach anglosaskich, niechętnie nastawionych do wszelkiej idei "rewanżu", "zemsty" czy "odpłaty."

Oświadczenie Roosevelta świad-czy, że zastrzeżenia jakie istniały w umysłach anglosaskich w tym względzie—padły.

HARCE OKRĘTÓW PODWODNYCH

Wojna z okrętami podwodnymi toczy się stale i bez ustanku. Od

kilku tygodni kierownicze sfery admiralicji brytyjskiej powtarza-ją, że "zbiera się spore żniwo wśród okrętów nieprzyjaciel-skich." Ustalenie strat wroga nie jest napewno łatwe, ale sądzić na-leży, że do powiększenia strat niemieckich przyczynia się wiele samolot.

Niemcy przyznają się do wzmo-żenia trudności, na jakie napoty-kają okręty podwodne w swoich polowaniach. Stwierdzają oni, że okręty podwodne przesunęły się z pobrzeży brytyjskich i zachod-niego szlaku atlantyckiego patr-wanego dokładnie przez ma-rynarkę brytyjską—bardziej brzegom atlantyckim USA. A i tam z topieniem jest co raz trud-niej, albowiem system konwojów został już wprowadzony, a poza tym koledzy z Coastal Command pomagają amerykańskim pilotom w tropieniu niemieckich okrętów podwodnych.

W tych warunkach niemieckie "U-Booty" *gnane z miejsca na miejsce przesunęły się ostatnio w stronę zachodniego pobrażza Afryki. Działają też one na wiel-ką skalę na brzegach państw po-ludniowo-amerykańskich. Topie-nie statków brazylijskich i argen-tyńskich postępowało w takim tempie, że oba te państwa straciły wreszcie cierpliwość. Brazylia wpiwepowiedziała się za akcją na własną rękę i samoloty brazy-lijskie zaczęły tropić i topić niemieckie okręty podwodne. Niedlu-go potem weszła formalnie do wojny.

AMERYKA ŁACIŃSKA W WOJ-NIE Z PAŃSTWAMI OSI

Pirackie napady niemieckie wy-wolują wrazenie w państwach Ameryki łacińskiej, która co raz bardziej wyraźnie mobilizuje się przeciwko państwom osi. Jest to fakt pierwszorzędno znaczenia, albowiem w państwach Pld. Ameryki istniały zawsze poważne wpły-wy niemieckie oraz włoskie a to, że Hiszpania stała się faszystow-ska i że związana jest z "osią" nie pozostało bez wpływu na orientowanie się niektórych kół politycznych republik Ameryki Pld. Obecnie wojna niemieckich okrętów podwodnych przekreśla te wszystkie sympatie i Ameryka Pld. co raz wyraźniej steruje ku U.S.A.

Jeżeli olbrzymi kontynent Pld. Ameryki złączy się przeciwko Rzeszy, to wówczas jest to wielki sukces polityczny Stanów Zjd. a znaczna kleska dyplomatyczna państw osi. Państwa Pld. Ameryki są wielkim rezerwoarem su-rowców, są dalej znakomitą od-skocznią dla wielu działań wojen-nych—jeżeli oddadzą swoje bazy do rozporządzenia państw sojus-zniczych. Posiadają te państwa również własne marynarki wojen-ne, lotnictwa i marynarki handlo-we, które wspomogłyby poważnie front aliancki.

— Londyn, 23 sierpnia 1942.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Z tygodnia na tydzień

16 sierpnia: Gdzieś na Środkowym Wschodzie odbyła się promocja podchorążych piechoty i kawalerii pancerniej. Promowani podchorążowie brali udział w kam-panii libijskiej a wielu z nich po-siada odznaczenia bojowe.

18 sierpnia: Rocznicą przybycia pierwszego transportu ochotników z Ameryki Pld. do Wojska Polskiego w W. Brytanii. W rozkazie wydanym z tej okazji dowódca I Korpusu Panc. Mot. po-wiedział m.i. do żołnierzy—ochot-ników: "Dziś po roku twardej szkoły żołnierskiej, po poznaniu tajników służby i życia się z to-warzyszami broni stanowicie jedną zwartą gromadę żołnierską prze-pojoną wspólnymi nam wszystkim idealami... Gdziekolwiek los żoł-nierski i konieczność pracy woj-skowej was postawił jestem prze-konany, że pełnicie swą służbę z zaparciem i z tym głębokim zro-zumieniem, że każda praca na ja-kimkolwiek posterunku jest po-trzebną i jednako ważną i cenną dla wspólnego dobra..."

19 sierpnia: W wypadzie na Dieppe brał udział jeden kontr-torpedowiec polski oraz "skrzydło" myśliwskie. Piloci polscy zestrze-lili 16 samolotów nieprzyjaciel-skich, tracąc sami tylko dwóch pi-lotów. Wyczyny polskich lotników

opisał w dniu 22 b.m. specjalny komunikat Air Ministry, podkre-słając zwłaszcza zwycięstwa Dy-wizjonu Warszawskiego, który sam stracił 9 samolotów nieprzy-jacielskich.

KOMUNIKAT

S.S.S.K.P. w Zjednoczonym Kró-lestwie, zawiadamia, że w porozu-mieniu z Międzypaństwowym Komite-m Kobiety Brytyjski Czerwony Krzyż, organizuje w języku angielskim, dwu-miesięczne kursa Pier-wszej Pomocy Sanitarnej dla kobiet krajów sprzymierzonych.

Wykłady odbywać się będą 2 razy tyg. w godz. od 6.15—do 7.45 pp. i rozpoczną się w dniu 16 września b.r. w siedzibie kursów 43, Belgrave Square, S.W.1. Ilość miejsc ściśle ograniczona. Znajomość języka angielskiego konieczna. Opłata za kurs 6 sh. Zapisy dla Polek tylko za pośrednictwem S.S.S.K.P. w godz. dzwurdów Stowarzyszenia w Ognisku Polskim, 55, Princes Gate, S.W.7 we wtorki od 5-7 pp. i w piatki od 3-5 pp.

SPROSTOWANIE

Autorem korespondencji z Środko-wego Wschodu p.t. "Spotkanie" drukowanej w nr. 25 "Polski Wal-czacej" z dnia 20.VI.1942 r. jest nie p. Wacław Sikorski, który pośredni-czył w jej przesylce, ale p. Anatol Stern, co niniejszym prostujemy, przeprasając obie zainteresowane strony za tę pomyłkę.

JOHN DOWNIE, LTD.
Kwiaciarnia West End'u
27, Shandwich Place,
EDINBURGH
Kwiaty na wszelkie okazje

CLIFTON HOTEL
47a, Welbeck Street, W.1
Telefon: WELBECK 6881
Pokój ze śniadaniem i kąpielą od £2.2.0 tygodniowo albo od 10 sh. dziennie
Śniadania mogą być podawane w pokojach
Punkt zborny dla Polaków z prowincji

SPIS RZECZY
Tymon Terlecki: Polski Wrzesień. — Zdzisław Borysowicz: 1.IX.1939 /rysunek/. — Mieczysław Przechow-ski: Dwie relacje o Westerplatte. — Ludwik Bojczuk: Barykada na Łyczakowie. — Józef Winiewicz: Miasto opuszczone. — Halina Gaszyńska: Jeden z Warszawy. — Tymczasowy wykaz poległych Nr. 2 /Kampania jesienna roku 1939 w Polsce/. — Wiktor Budzyński: Bez blackoutu. — Działalność lotnictwa polskiego w Wielkiej Brytanii. — Pomoc dla Polaków w Rosji. — Zbigniew Gra-bowski: Szkic sytuacyjny. — Z ty-godnia na tydzień. — Fotografie.

SŁOWNIK
Angie'sko-Polski i Polsko-Angielski
J. Stanisławskiego
ukaże się w nowym wydaniu w końcu września r.b.
Cena 15 sh.
Ze względu na ograniczoną ilość egzemplarzy nowego nakładu zamowienia wykonane będą w kolejności zgłoszeń. Zamówienia wraz z należnością prosimy kierować pod adresem:
MINERVA PUBLISHING CO., LTD.,
229-231, High Holborn, London, W.C.1.

HAMILTON HOUSE HOTEL
140, PICCADILLY, LONDON, W.1
Pod polskim kierownictwem.
25 pokoi stale zarezerwowanych dla PP. Oficerów i Szeregowych W.P.

BELGRAVIA HOTEL
86, Belgrave Rd., London, S.W.1
Tel. Victoria 1649
Ciepła i zimna woda we wszystkich pokojach. Pokój ze śnia-daniem i kąpielą £2.2—tygodniowo albo 8/6 dziennie.
5 minut od Victoria Station

J. W. MACKIE & SONS LIMITED
PIEKARZE DOSTAWCY
RESTAURATORZY
Mleczarnia otwarta do 11 wie-czór z wyjątkiem niedziel.
108, Princes Street,
EDINBURGH

Powielacze Plex, papier do po-wielaczy, książki rachunkowe, ołówki, notesy i przybory biurowe jak również papier listowy i koperty
MACFARLANE & DICKSON,
25, Castle Street,
EDINBURGH

AUTORYZOWANA WYTWÓRNIA ROGATYWEK
LOCK & CO. HATTERS,
S. James's Street LONDON.
Cena £3 od sztuki. Przy 6 szt. i więcej dajemy rabat.

POLSKI KRAWIEC
wykonuje ubrania cywilne i mundury wojskowe oraz damskie kostiumy po cenach umiar-kowanych. Poprawki i prze-róbki. Specjalista w cerowaniu bez śladu wypalonych dziur i rozdarcia materiału.
M. FOX, 31a, Buckingham Palace Road, S.W.1. Wejście obok Hotelu Rubens.
Tel.: VICTORIA 8241.

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY M.S.WOJSK.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLBORN 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-iej—13-iej.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wylacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.
Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.15 Od. Ogłoszenia 6 poszukiwaniu pracy i osób—2sh. za wiersz.
Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for the "Polska Walczaca," by St. Clements Press, (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.
© Musées de Grasse, Alpes-Maritimes